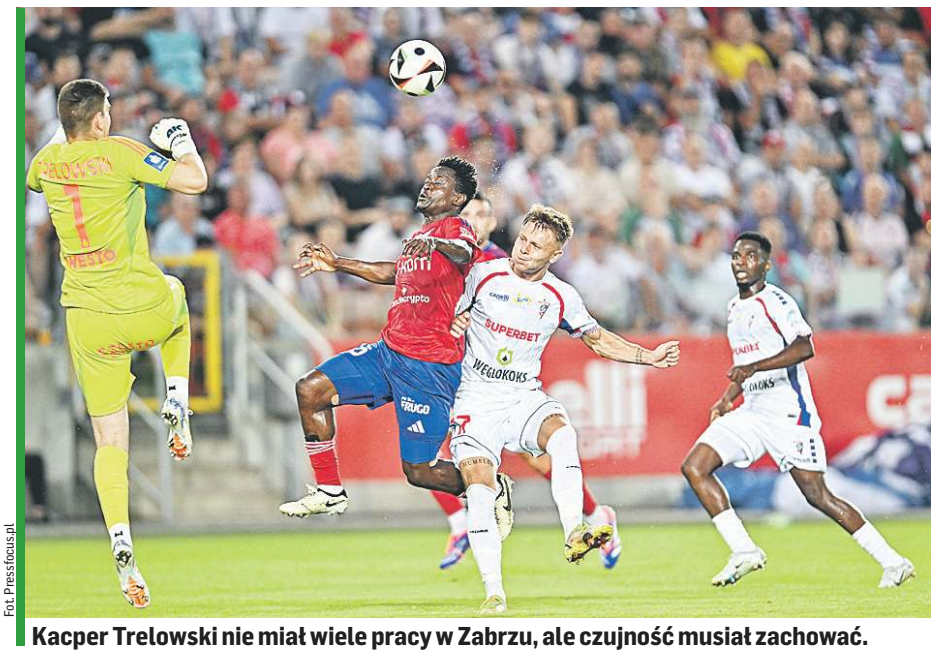
wtorek, 20 sierpnia 2024 NR 171 (17981)

Sport

Ukazuje się od 1945 roku



Piaście czy ci nie żal?


Fot. Pressfocus.pl

Kacper Trelowski nie miał wiele pracy w Zabrzu, ale czujność musiał zachować.

Lekkie rozczarowanie

Po meczu Górnika z Rakowem nikt do końca nie był zadowolony.

Zabrzanie lepiej weszli w niedzielny mecz i już po kilku minutach mogli prowadzić, kiedy prowadzący spotkanie Łukasz Kuźma wskazał na jedenasty metr po tym, jak po dośrodkowaniu Kamila Lukoszka piłka trafiła w rękę Kamila Pestki.

Karnego nie było

Po interwencji VAR arbiter odwołał jednak swoją decyzję. Za monitorem w niedzielę siedział sam Szymon Marciniak. Naszego najlepszego arbitra spytaliśmy o tą sytuację z 9 minuty. Zastrzegł, że oficjalnie się nie wypowie, ale przedstawił swoje argumenty. Na tyle rzeczowe, że nie mogło być mowy o pomyłce. Na swoim telefonie sędzia finału ostatnich mistrzostw świata kilka razy pokazał nam całą sytuację, tłumacząc, że ręka obrońcy Rakowa była przy wślizgu ułożona naturalnie i o jedenastce, która by pewnie ustawiła całe spotkanie nie mogło być mowy. Podobnie wszystko widział trener Jan Urban. Na pomeczowej konferencji przyznał. - Nie pytałem sędziego o wyjaśnienie sytuacji z anulowaniem rzutu karnego. Nie mogło go być, bo rywal najpierw się podparł o boisko, a potem piłka trafiła go w rękę – powiedział szkoleniowiec górniczej jedenastki.

Trener Urban, choć w środę na konferencji prasowej poprzedzającej mecz z częstochowianami mówił, że wszystkich graczy ma do swojej dyspozycji, to jednak z kilku zawodników – jak się okazało – nie mógł skorzystać. Kontuzjowany jest Luka Zahović, który przecież w dwóch poprzednich meczach z Pogonią i Radomiakiem po wejściu z ławki zdobywał gole. W meczowej kadrze nie było też dobrze spisującego się ostatnio Luki Ambrosa, a przed upływem drugiego kwadransa murawę opuścił Lukas Podolski.

- Poczuł delikatne ukłucie i musiał zejść. Nie przyznał się tylko, że już kilka dni coś czuł. Ale podjął bardzo profesjonalną decyzję prosząc o zmianę – przyznał trener Urban.

- Wiedzieliśmy czego się spodziewać po Rakowie, który dotąd stracił tylko jedną bramkę, a rywale w poprzednich meczach stworzyli bardzo mało sytuacji. W defensywie Raków gra naprawdę dobrze. My nie stworzyliśmy zbyt wielu okazji, najlepszą miał chyba w końcówce Norbert Wojtuszek. Powinniśmy być zadowoleni z remisu. Owszem, chcieliśmy wygrać, dążyliśmy do tego. W wielu momentach zbrakło jednak pomysłu, ostatniego podania, czasami jakości. Pamiętajmy, że rywale mieli dwie sytuacje sam na sam z bramkarzem. Michał Szromnik był naszym najlepszym zawodnikiem - podsumował wszystko Jan Urban.

Dodajmy, że to już drugi raz z rzędu, kiedy golkiper Górnika został piłkarzem meczu. Tak też było w spotkaniu 4. kolejki z Radomiakiem, kiedy również popisał się kilkoma znakomitymi interwencjami.

Mecz w cieniu śmierci

Dużo większe powody do niezadowolenia mogą mieć pod Jasną Górą. Przy Roosevelta gospodarze ani razu nie uderzyli celnie na bramkę Kacpra Trelowskiego – bomba Dominika Szali w II połowie wylądowała na poprzeczce. Raków z kolei pięć razy wypalił w światło górniczej bramki, jednak Szromnik był bezbłędny. Na pomeczowej konferencji trener Marek Papszun nawiązał jednak na początku nie do spotkania, a do tego co wydarzyło się wcześniej.

- Mecz został rozegrany w cieniu śmierci wielkiego trenera Franciszka Smudy. Składam szczere kondolencje dla rodziny. Odeszła wielka postać futbolu i to smutny dzień dla środowiska trenerskiego. Życie toczy się dalej – powiedział trener mistrza Polski z 2023 roku.

Co do samego spotkania trener Papszun tak wszystko skomentował. - Mecz był dynamiczny, trudny dla obu stron. Tyle że w Zabrzu nie ma dla nikogo łatwych. Wybroniliśmy się, natomiast musimy wykorzystywać takie sytuacje, jakie stworzyliśmy – musimy strzelić jedną bramkę. Mam zastrzeżenia do zespołu, że nie wygraliśmy, bo szanse ku temu sobie stworzyliśmy. Były bardziej klarowne. Na pewno lekkie rozczarowanie jest, ale z drugiej strony przeciwnik był wymagający. W kolejnym spotkaniu zrobiliśmy bramkarza rywali bohaterem. Musimy mieć więcej wyrachowania, spokoju. Wierzę, że skuteczność złapiemy. Na ten moment 10 zdobytych punktów byłoby OK - podkreślił.

Trener Papszun dodał jeszcze. - Przerwa na analizę wideo przy rzucie karnym była dla bardzo ważnym momentem. Źle zakładaliśmy pressing i Górnik nas na początku zdominował, nie umieliśmy się odnaleźć. Cieszę się, że piłkarze wdrożyli przekazane wskazówki i opanowaliśmy długie piłki rywali - zaznaczył.

Michał Zichlarz

Jedno złe podanie

Niedzielny remis Ruchu jest rozczarowujący pomimo tego, że zespół stracił punkty w meczu z liderem.

W czwartym meczu z rzędu Ruch Chorzów stracił punkty. Tym razem zremisował na wyjeździe z Bruk-Bet Termalicą Nieciecza 1:1, nie grając wybitnie. Prawda jest taka, że podopieczni Janusza Niedźwiedzia stworzyli kilka sytuacji, które powinny zakończyć się bramką, a w praktyce ich finalizacja pozostawała wiele do życzenia.

Reakcja łańcuchowa

Dlatego Ruch może odczuwać, że potencjalne zwycięstwo wymknęło się z rąk. - Po raz kolejny czujemy rozczarowanie. Graliśmy u lidera i wiedzieliśmy, że będzie nas czekał ciężki mecz. Graliśmy z zespołem, który bardzo dobrze punktuje od początku sezonu. Traktujemy przeciwników z szacunkiem, ale chcemy też grać na swoich zasadach. Pomimo kilku dogodnych sytuacji mecz zakończył się tylko remisem. Stąd nasze rozczarowanie i nasza sportowa złość – powiedział po spotkaniu szkoleniowiec chorzowian. Wspominał podczas konferencji prasowej, że Nono trafił w słupek, że Wojciech Łaski nie wykończył ładnej akcji i że w drugiej połowie gola powinien zdobyć Denis Ventura, ale nie wykorzystał sytuacji sam na sam.

To ostatecznie nie ma wielkiego znaczenia, bo liczy się wynik. Ruch przegrywał po pierwszej połowie 0:1, gdy po stracie piłki w środku pola gola strzelił Morgan Fassbender. - Kiedy mieliśmy pełną kontrolę, jeden błąd, strata w środku pola sprawiła, że straciliśmy gola. Musimy na to uważać w przyszłości, bo to samo stało się w Krakowie. Jedno złe podanie wywołało łańcuch niepowodzeń. Straciliśmy wtedy bramkę i teraz znów się to wydarzyło – zauważył trener Niedźwiedź. Powtórzył się więc błąd, który jednak nie usprawiedliwia remisu. Oczywiście Ruch grał z liderem tabeli. Nieciecznie są mocnym zespołem, który ma jasno określony cel – chce awansować do ekstraklasy. Robią wszystko, żeby tak się stało. Mimo tych okoliczności, chorzowianie powinni wrócić na Górny Śląsk z kompletem punktów, a nie tylko z remisem, który zapewnił Daniel Szczepan. Szkoleniowiec zresztą wspomniał na konferencji prasowej o tym, że drużyna czuła, że mecz może wygrać.

Teoria, a praktyka

Chorzowianie mogli upatrywać szansy na zwycięstwo w tym, że przez ostatnie kilkanaście (prawie 20) minut grali w przewadze, gdy czerwoną kartką ukarany został Arkadiusz Kasperkiewicz. Prawda jest jednak taka, że nawet gdy gospodarzy było na boisku dziesięciu, drużyna z Chorzowa nie potrafiła stworzyć ani jednej klarownej sytuacji, żeby wyjść na prowadzenie. – Teoretycznie w przewadze gra się łatwiej, ale nawet nasz przykład sprzed tygodnia, z meczu z Wisłą pokazuje, że przeciwnicy w ostatnich minutach, grając w przewadze, musieli bronić wyniku. Bardzo często następuje taki efekt, że gdy drużyna gra w dziesięciu, mocno się jednoczy, a zawodnicy dają z siebie 10 proc. więcej, żeby odrobić stratę zawodnika. Tak samo było w Niecieczy – przekonuje Janusz Niedźwiedź, a później opisał, czego zabrakło jego zawodnikom w ostatnich minutach rywalizacji. - Mogliśmy lepiej rozegrać kilka akcji, które doprowadziliśmy do 25 metra. Zabrakło decyzji o podaniu albo lepszego dośrodkowania, żeby skończyć akcję. W ciągu kilkunastu minut ogromnej różnicy pomiędzy nami a Termalicą nie było widać, bo przeciwnicy stanęli głębiej i czekali na podania za plecy – dodał opiekun Ruchu. Zakończyło się więc remisem, czwartym meczem bez zwycięstwa z rzędu... Jedynym optymistycznym akcentem pozostaje zakończenie serii zwycięstw Bruk-Bet Termaliki, choć to marne pocieszenie dla 14-krotnego mistrza Polski.

Kacper Janoszka


Fot. PressFocus.pl

Nono wciąż czeka na swojego pierwszego gola w sezonie.

KRÓTKA PIŁKA

CHORWACKA KADRA

■ Selekcjoner reprezentacji Chorwacji Zlatko Dalić ogłosił listę zawodników powołanych na wrześniowe mecze Ligi Narodów z Portugalią 5 września z Lizbonie i z Polską w Osijek 8 września.

Kadra Chorwacji na mecze LN

Bramkarze: Dominik Livaković (Fenerbahce), Dominik Kotarski (PAOK), Nediljko Labrović (Augsburg).

Obrońcy: Josko Gvardiol (Manchester City), Duje Caleta-Car (Olympique Lyon), Borna Sosa (Torino), Josip Stanisić (Bayern Monachium), Josip Sutalo (Ajax), Marin Pongracić (Fiorentina), Martin Erlić (Bologna).

Pomocnicy: Luka Modrić (Real Madryt), Mateo Kovacić (Manchester City), Mario Pasalić (Atalanta), Lovro Majer (VfL Wolfsburg), Luka Ivanusec (Feyenoord), Luka Sucić (Real Sociedad), Kristijan Jakić (Augsburg), Martin Baturina (Dinamo Zagrzeb), Petar Sucić (Dinamo).

Napastnicy: Ivan Perisić (Hajduk), Andrej Kramarić (Hoffenheim), Bruno Petković (Dinamo), Ante Budimir (Osasuna), Igor Matanović (Eintracht Frankfurt).

Lista rezerwowych: Borna Barisić (Trabzonspor), Marko Pjaca (Dinamo), Ivica Ivusić (Pafos), Marco Pasalić (Rijeka), Nikola Moro (Bologna), Toni Fruk (Rijeka), Robert Ljubicić (AEK).

Sport 121eeffe49



Fot. Marta Badowska/PressFocus.pl

Ilija Szkurin (drugi z prawej) okazał się największym zagrożeniem dla defensywy z Gliwic.

Stalowy mur

Piast zmarnował świetną szansę żeby awansować na pozycję lidera

Stal pokazała charakter, a trener Kamil Kiereś może odetchnąć z ulgą, bo temat jego zwolnienia na razie powinien ucichnąć. Gliwiczanie? Zagrali bardzo słabo i zmarnowali szansę samodzielnego liderowania w tabeli ekstraklasy... Na własne życzenie.

Bez pomysłu

Piast przyjechał do Mielca mając status jedynej jeszcze niepokonanej drużyny w lidze. Trener Aleksandar Vuković trochę zmuszony sytuacją, na szpicy wystawił jedynego nominalnego napastnika w kadrze – Macieja Rosołka. Drugą roszadą było pojawienie się w pomocy Tihomira Kostadinowa kosztem Damiana Kądziora.

Wracając do Rosołka, to w pierwszej połowie był bardzo osamotniony i... trochę bezradny. Głównie z tego powodu, że nie wiedzieć czemu, gliwiczanie skupili się na górnych dośrodkowaniach, które w 99 proc. stawały się łupem rosłych defensorów Stali. Wrzuty z autu, które od dłuższego czasu są bronią Piasta, również nie przynosiły żadnych rezultatów. Najwięcej zagrożenia ze strony gliwiczan niosły indywidualne akcje Michaela Ameyawa, ale on również nie mógł liczyć na ruchliwość i wychodzenie na pozycje kolegów z drużyny.

Szkurin najgroźniejszy

Stal była bardzo zmobilizowana i zdyscyplinowana, często agresywnie atakując piłkarzy z Gliwic (5 żółtych kartek). Mielczanie wyglądali jakby walczyli nie tylko o punkty dla drużyny, ale również o posadę dla trenera Kamila Kieresia. Przez niemal całą pierwszą połowę gospodarze bardziej skupiali się na grze obronnej, niewiele mając okazji z przodu. Dopiero tuż przed przerwą dośrodkowanie Łukasza Wolsztyńskiego na głową Ilji Szkurin omal nie zakończyło się golem. Omal, bo kapitalną i jedyną interwencją popisał się bramkarz gliwiczan Frantiszek Plach.

Bezradność w ofensywie widział z pewnością trener Vuković i po przerwie zmienił bezproduktywnego Kostadinowa na Kądziora. I to ten rezerwowy w pierwszej akcji stworzył więcej zagrożenia niż Macedończyk. Mocny strzał z dystansu pomocnika złapał jednak bramkarz Stali. Gliwiczanie zaczęli w końcu strzelać z dystansu, bo po chwili nad poprzeczką huknął Tomasiewicz. Mecz coraz bardziej się „otwierał" i w końcu zaczęło dziać się więcej. W pewnym momencie to gospodarze jednak zaczęli mocniej atakować, a determinacją dominowali nad przyjezdnymi. W efekcie czego „stalówka" dopięła swego. Strata w środku pola i podanie do Szkurina dało Białorusinowi okazję, której nie zmarnował, pokonując mocnym strzałem Placha. Ta bramka kompletnie rozbiła gości, a miejscowi uwierzyli, że w końcu zgarną trzy upragnione punkty. Gospodarze poszli za ciosem i dzięki rezerwowemu napastnikowi Ravve Assayangowi odnieśli pierwsze zwycięstwo od... kwietnia tego roku! **(kris)**

OCENA MECZU ★★

Stal Mielec 2:0 (0:0) Piast Gliwice

1:0 – Szkurin, 79 min (asysta Guillaumier), **2:0** – Assayag, 85 min (asysta Bukowski)

STAL: Mądrzyk 6 – Esselink 6, Matras 5, Senger 6 – Guillaumier 6 – Jaunzems 6 (72. Dadok niesklas.), Hinokio 5 (62. Bukowski), Domański 5, Wołkowicz 5 (62. Getinger 5) – Wolsztyński 5 (72. Assayag niesklas.), Szkurin 7. **Trener** Kamil KIEREŚ. **Rezerwowi:** Jałocha, Gerbowski, Rafa Santos, Stępień, Tkacz.

PIAST: Plach 5 – Pyrka 5, Mosór 6 (46. Drapiński 4), Czerwiński 4, Huk 4 – Dziczek 4, Tomasiewicz 5 – Kostadinow 3 (46. Kądzior 5), Chrapek 3 (73. Szczepański niesklas.), Ameyaw 5 (90. Mucha niesklas.) – Rosołek 4. **Trener** Aleksandar VUKOVIĆ. **Rezerwowi:** Szymański, Karbowy, Krykun, Munoz, Mokwa.

Sędziował Damian Kos (Wejherowo) – **6. Asystenci** Bartosz Heinig (Gdańsk), Tomasz Niemirowski (Płochocin). **Czas gry** 96 min (47+49). **Widzów** 4308. **Żółte kartki:** Wołkowicz (4. niesportowe zachowanie), Wolsztyński (13. faul), Matras (62. faul), Domański (76. faul), Szkurin (79. niesportowe zachowanie).

Piłkarz meczu – Ilja SZKURIN

MÓWIĄ LICZBY

STAL		PIAST
43	posiadanie piłki	57
3	strzały celne	2
3	strzały niecelne	2
1	rzuty rożne	5
13	faule	4
1	spalone	5
5	żółte kartki	0

PKO BP EKSTRAKLASA

6. KOLEJKA (24-27.08)

Piątek
- Widzew Łódź - Radomiak 18.00
- Lechia Gdańsk - Raków Częstochowa 20.30

Sobota
- Motor Lublin - Puszcza Niepołomice 14.45
- Cracovia - Górnik Zabrze 17.30
- Piast Gliwice - Zagłębie Lubin 20.15

Niedziela
- GKS Katowice - Jagiellonia Białystok 14.45
- Lech Poznań - Pogoń Szczecin 17.30
- Śląsk Wrocław – Legia Warszawa 20.15

Poniedziałek
- Korona Kielce - Stal Mielec 19.00

1. Legia	5	10	10:5
2. Pogoń	5	10	8:3
3. Lech	5	10	7:3
4. Cracovia	5	10	9:6
5. Jagiellonia (m)	4	9	9:6
6. Raków	5	8	3:1
7. Piast	5	8	7:6
8. Widzew	5	8	6:5
9. Górnik	5	8	5:5
10. Puszcza	5	5	8:8
11. Motor (b)	4	5	3:3
12. Katowice (b)	5	5	4:5
13. Zagłębie	5	5	4:6
14. Stal	5	4	3:5
15. Śląsk	4	3	2:4
16. Radomiak	4	3	6:10
17. Korona	5	2	2:8
18. Lechia (b)	5	2	4:11

1 – el. LM, **2-3** – LKE, **16-18** spadek

Stracona szansa Wisły

Kapitalne spotkanie w Krakowie zakończyło się remisem, z którego nie było zadowolonych ani na boisku, ani na trybunach.

Przed meczem minutą ciszy uczczono zmarłego w niedzielę byłego selekcjonera reprezentacji Polski Franciszka Smudę, który aż trzykrotnie pracował w Wiśle Kraków i z „Białą gwiazdą" zdobył mistrzostwo kraju.
Wisła podbudowana ligowym zwycięstwem nad Ruchem i przede wszystkim udanym rewanżem ze Spartakiem Trnava, dającym awans do decydującej rundy eliminacji Ligi Konferencji, w której zmierzy się w czwartek belgijskim Cercle Brugge, zdawała wczoraj kolejny egzamin. Tym razem na zamknięcie 5. kolejki z aspirującą do awansu Arką Gdynia. I musiała dać odpowiedź na pytanie – czy pucharowy sukces nie będzie pułapką w potyczkach z krajowymi rywalami. Pierwsze połowa w wykonaniu „Białej gwiazdy" dawała pozytywny odzew. Gospodarze prowadzili, choć goście znad morza mieli trzy znakomite okazje. Nie wykorzystali ich Karol Czubak, Tornike Gaprindaszwili oraz Hide Vitalucci. Pozostałe minuty tej odsłony należały już do koncertowo grających gospodarzy i ich lidera Angelo Rodado, który w 13 min popisał się kapitalnym uderzeniem lewą nogą z ponad 20 metrów. Piłka trafiła do siatki, choć chyba Paweł Lenarcik mógł się trochę lepiej się zachować. W innych sytuacjach bramkarz żółto-niebieskich pokazał jednak, że zna swój fach. Tak było przy technicznym pociągnięciu Rodado, dobitce Sukiennickiego, jeszcze jednej okazji Sukiennickiego, a kolejna próba Rodado w 40 min zatrzymała się na poprzeczce. Zapracowanemu Lenarcikowi należała się chwila wytchnienia, ale kibice bardzo żałowali, że Sebastian Jarzębak zaprosił piłkarzy na przerwę. Drugą połowę znów otworzył król Rodado, który mimo asysty czterech gdynian po raz drugi pokonał golkipera. Ten gol nie załamał gości, bo petarda Michała Rzuchowskiego zatrzymała się na poprzeczce, a za moment padł kontaktowy gol. Po rzucie rożnym piłkę odebrał wiślakom Gaprindaszwili, podał do Joao Oliveiry, a Szwajcar pognał z własnej połowy niczym poruszający się z prędkością 350km/h chiński Fuxing i nie mając już na plecach żadnego z rywali ze spokojem posłał piłkę do siatki.
W 68 min powinno paść wyrównanie, ale Rzuchowski nie trafił z bliska, a z boiska po drugiej żółtej kartce wyleciał Biedrzycki. Wisła miała problem, mecz uciekał jej spod kontroli, kryzys sił dopadał coraz mocniej, co wykorzystał Oliveira w zamieszaniu podbramkowym zdobywając swojego drugiego gola. Od tego momentu mecz stał się jeszcze bardziej ognisty, temperatura na boisku i na trybunach osiągnęła poziom wrzenia. Nie brakowało też kontrowersji – po konsultacji VAR sędzia Jarzębak pokazał tylko żółtą kartkę Martinowi Dobrotce, który przytrzymał wychodzącego na czystą pozycję Piotra Starzyńskiego. Ostatecznie kapitalne spotkanie w Krakowie zakończyło się remisem, z którego nie było zadowolonych ani na boisku, ani na trybunach.

Zbigniew Cieńciała

OCENA MECZU ★ ★★ ★

Wisła Kraków - Arka Gdynia 2:2 (1:0)

1:0 – Rodado, 13 min, **2:0** – Rodado, 49 min, **2:1** – Oliveira, 53 min, **2:2** – Oliveira, 85 min

WISŁA: Cziczkan – Jaroch, Uryga, Biedrzycki, Mikulec – Carbo, Sukiennicki (65. Starzyński), Kutwa (73. Łasicki) – Baena (65. Gogół), Rodado, Kiss (77. Duarte). Trener Kazimierz MOSKAL.

ARKA: Lenarcik – Stolc (73. Lipkowski), Marcjanik, Dobrotka (83. Hermoso) , Gojny – Staniszewski (83. Jakubczyk) – Oliveira, Vitalucci (63. Skóra), Rzuchowski, Gaprindaszwili (63. Sobczak) – Czubak. Trener Wojciech ŁOBODZIŃSKI.

Sędziował Sebastian Jarzębak (Piekary Śl.). **Widzów** 14070. **Żółte kartki:** Biedrzycki (62. i 70), Starzyński – Vitalucci, Dobrotka, Rzuchowski, Hermoso. **Czerwona kartka** Biedrzycki (70. po drugiej żółtej).

Piłkarz meczu – Angelo RODADO

BETCLIC 1. LIGA

6. KOLEJKA (24-27.08)

Wtorek
- Kotwica Kołobrzeg - Polonia Warszawa 18.00
- Warta Poznań - ŁKS Łódź 20.30
- Chrobry Głogów - Stal Rzeszów 20.30

Środa
- Bruk-Bet Termalica Nieciecza - Wisła Płock 18.00
- Odra Opole - Stal Stalowa Wola 20.30
- Pogoń Siedlce – GKS Tychy 20.30

Czwartek
- Miedź Legnica - Znicz Pruszków 17.30
- Arka Gdynia - Ruch Chorzów 19.00
- Górnik Łęczna - Wisła Kraków przełożony

1. Bruk-Bet	5	13	13:2
2. Górnik	5	13	10:5
3. Wisła P.	5	13	8:4
4. Stal R.	5	12	10:3
5. Miedź	5	10	8:5
6. Arka	5	8	8:5
7. Kotwica	5	8	6:4
8. Znicz	5	8	6:5
9. Ruch	5	6	5:5
10. Wisła K.	4	5	6:5
11. Tychy	5	5	3:3
12. Chrobry	5	5	4:8
13. Odra	5	4	5:8
14. Warta	5	4	3:10
15. ŁKS	4	1	2:6
16. Pogoń	5	1	4:10
17. St. Wola	5	1	3:9
18. Polonia	5	1	1:8

1-2 – awans, **3-6** – baraże, **16-18** – spadek

Sport 121eeffe49

LIGOWIEC



Bogdan Nather

Fantazja i naiwność

Przed tygodniem trener Puszczy Niepołomice Tomasz Tułacz nie dowierzał, że kiedykolwiek po meczu z Legią Warszawa będzie miał uczucie niedosytu. Drużyna z Łazienkowskiej mogła bowiem wracać do stolicy z pustymi rękami, gdyby gospodarze tamtego meczu wykorzystali rzut karny. Teraz jego podopieczni przejechali się po Lechii jak, nie przymierzając, czołg po płycie pilśniowej. Szkoleniowiec zaś po efektownej wiktorii swojej drużyny uśmiechnął się jak tragarz, któremu zaproponowano podnośnik widłowy za darmo.

Czapki z głów przed Cracovią, która ograła mistrza Polski i to na jego terenie. Nie był to sukces przypadkowy, ale o nim piszę „drobiazgowo" w „Wydarzeniu kolejki". Ważny mecz odbył się w Szczecinie, gdzie jako pierwszy trener Pogoni debiutował Robert Kolendowicz. Zgoda, zna drużynę na wylot, ale pierwszemu meczowi pod nową komendą zawsze towarzyszy nuta niepewności. To nieprawda, że „nowa miotła" zawsze ma łatwiej i jest poniekąd skazana na sukces. Widziałem wielu znanych szkoleniowców, którzy spalili się przy pierwszym podejściu. Jak chociażby niedawno Jacek Zieliński, który wziął w swoje ręce lejce wozu z napisem „Korona Kielce" i musiał przełknąć gorzką pigułkę. Kolendowicz przejął zespół „Dumy Pomorza" w najmniej spodziewanym momencie, ale pokazał, że zna się na swoim fachu. Zobaczymy, jak będzie sobie radził w dalszej fazie wycieczki do lasu, bo jak wiadomo, im głębiej się zapuszczasz, tym więcej napotykasz drzew.

Przed sezonem Lechia Gdańsk prężyła muskuły, to miał być jej triumfalny powrót do elity. Tymczasem na razie biało-zieloni są dostarczycielami punktów, bo tak należy skwitować dwa punkty w pięciu meczach. Na domiar złego zespół trenera Szymona Grabowskiego stracił najwięcej (aż 11 goli, średnia 2,2) spośród całej stawki. Najprawdopodobniej w Trójmieście do tej pory nie znali powiedzenia „Pycha przed upadkiem kroczy", ale boleśnie przekonali się na własnej skórze, że kiedy wchodzisz między liny ringu, musisz spodziewać się ciosów. Nie mam złudzeń, że najbardziej zagorzali kibice Lechii (jednym z nich jest mój kuzyn Krzysiek) z powodu „dokonań" swoich pupilów mają pianę na ustach, która wypływa niczym lawa z wulkanu.

Trener beniaminka z Gdańska Szymon Grabowski był po porażce z Puszczą wściekły jak wszyscy diabli. „W tej chwili charakteryzujemy się młodzieńczą fantazją i naiwnością. Wiedzieliśmy, z czego Puszcza słynie, co daje jej korzyści, a straciliśmy bramkę po naszym nieodpowiedzialnym zachowaniu. Kolejne bramki to również słabe zachowanie naszych zawodników, którzy wręcz pomagali rywalowi. Straciliśmy trzy bramki po stałych fragmentach, co mówi samo za siebie. Dla nas to była lekcja do odrobienia na przyszłość. O swoją przyszłość się nie boję, bo w przeszłości mieliśmy kilka słabszych momentów". Na miejscu trenera Grabowskiego nie byłbym taki pewny siebie, bo bardziej renomowani szkoleniowcy niż on lądowali na bruku, czego oczywiście mu nie życzę. Ale czasami warto ugryźć się w język, bo to nic przyjemnego, gdy pracodawca jeździ po tobie jak ciągnik z bronami. Poza tym porażka nigdy nie była i nie będzie lekiem uspokajającym.

WYDARZENIE KOLEJKI

Masakra mistrza Polski

Jagiellonia w dwóch ostatnich meczach - pucharowym z Bodo/Glimt i ligowym z Cracovią - straciła aż osiem goli!

Cracovia na pewno nie jechała na mecz ligowy do Białegostoku na ścięcie, ale zapewne nawet jej trener Dawid Kroczek nie spodziewał się, że tak mocno utrze nosa urzędującemu mistrzowi Polski. Strzelić cztery gole w meczu wyjazdowym, w dodatku na boisku tak renomowanego przeciwnika, to wielka sprawa. „Pasy" w obecności 17 tysięcy kibiców nie dały szansy drużynie trenera Adriana Siemieńca. Obrońcy „Jagi" w swoich działaniach nie nadążali za rywalem. Przy okazji tego spotkania koniecznie trzeba nadmienić, że „Pasy" w bieżących rozgrywkach są wyjątkowo skuteczne w potyczkach wyjazdowych. W trzech podejściach zaksięgowały komplet punktów, przy bilansie bramkowym 7:2, a na „rozkładzie" mają Raków Częstochowa, Koronę Kielce i Jagiellonię Białystok.

Trener krakowskiej jedenastki Dawid Kroczek nie traci jednak kontaktu z rzeczywistością, bo doskonale zdaje sobie sprawę, że „wielki odlot" piłkarzy mógłby mieć katastrofalne skutki dla jego zespołu. - Nie jest łatwo wygrać w Białymstoku, a my to zrealizowaliśmy - powiedział 35-letni szkoleniowiec po efektownej wiktorii w stolicy województwa podlaskiego. - Myślę, że po strzeleniu bramki zagraliśmy zbyt zachowawczo, straciliśmy trochę intensywności, wiary w to, że możemy strzelić kolejnego gola i to się skończyło sytuacją, w której przegrywaliśmy 1:2. Ale bardzo ważne dla nas było to, że potrafiliśmy podnieść się, doprowadzić do wyrównania, strzelić jedną bramkę więcej i w końcówce spotkania strzelić gola, pieczętującego nasze zwycięstwo 4:2. Zdajemy sobie sprawę z tego, że to dopiero początek sezonu i nadal musimy być skupieni na tym, co robimy. W szczególności dwa ostatnie zwycięskie mecze z Koroną i Jagiellonią nie mogą nas uśpić, a motywować do tego, że warto trzymać poziom, który sobie założyliśmy i przede wszystkim dążyć do tego, by w każdym kolejnym spotkaniu zdobyć trzy punkty.



Fot. Michał Kość/PressFocus

Po wiktorii w Białymstoku piłkarze Cracovii mieli powody do świętowania.

Trener Jagiellonii Adrian Siemieniec po porażce z „Pasami" nie mógł mieć zadowolonej miny. - Na pewno jesteśmy bardzo rozczarowani nie tylko porażką, ale również jej rozmiarami - zaznaczył na wstępie. - Zbyt łatwo straciliśmy pierwszą bramkę, mimo tego przejęliśmy kontrolę nad spotkaniem i ten mecz był z naszej strony taki, jak bym chciał, żeby te spotkania wyglądały. Dominowaliśmy i ten dobry fragment skończył się dla nas odwróceniem prowadzenia Cracovii. Ale za szybko straciliśmy drugą bramkę i mecz wrócił do momentu, w którym przeciwnik chciał się znajdować, czyli otwarty wynik i kontrola spotkania poprzez swój szybki atak i szukanie szans przy stałych fragmentach gry. I tak też te bramki padały. Trudno jest wygrać spotkanie, jeżeli traci się cztery gole i nad tym na pewno musimy się pochylić. Przegraliśmy, trudno, musimy to zaakceptować, bo nic już nie zmienimy. Musimy patrzeć co jest przed nami, zregenerować się, popracować i przygotowywać do starcia z Ajaxem Amsterdam.

No to w czwartek trzymamy kciuki za mistrza kraju! Pojedynek z utytułowanym klubem z Holandii jest najlepszą, wręcz wymarzoną, okazją do zmazania plamy na honorze.

Bogdan Nather

KONTROWERSJA

Błędy się zdarzają?

Jesienią ubiegłego roku przetoczyła się w mediach dyskusja na temat poziomu naszych ligowych arbitrów. Burzę wywołała postawa sędziego Damiana Sylwestrzaka w spotkaniu Piasta z Legią w Gliwicach. W 42 minucie tamtego meczu młody arbiter z Wrocławia pokazał drugą żółtą kartkę, a w konsekwencji czerwoną kapitanowi „Wojskowych" Josue. Jak dowodzili legioniści - sytuacja była absurdalna i skandaliczna, bo faulowany był Portugalczyk i to w sposób, który zasługiwał na napomnienie, może nawet czerwoną kartką. W efekcie stołeczny zespół przez blisko godzinę musiał grać w osłabieniu, co miało ich zdaniem ogromny wpływ na końcowy wynik i stratę punktów. Na Łazienkowskiej, choć rozczarowanie było ogromne, nie zdecydowano się wnioskować o nie delegowanie wrocławianina na mecze z udziałem Legii, jak miało to kiedyś miejsce w przypadku Bartosza Frankowskiego. Szybko wybaczono mu gafę. - Jest żal, ale nie mam pretensji do sędziego Damiana Sylwestrzaka. Każdy ma prawo się pomylić, nikt nie jest nieomylny. W jakiś sposób zaimponowało mi to, że arbiter przyznał się do błędu i przeprosił - skomentował dla Legia.Net prezes Dariusz Mioduski. W niedzielę ponownie bohaterem sędziowskiej ligowej kontrowersji stał się Damian Sylwestrzak i znów podmiotem jego pomyłki było spotkanie Legii, choć tym razem z Radomiakiem. W niedzielnej grze Damian Sylwestrzak podyktował dwa rzuty karne dla gospodarzy, z czego jeden był bardzo mocno dyskusyjny. „Z kapelusza trochę" - ocenił w sieci były legionista Cezary Kucharski. My użyjmy równie delikatnego sformułowania „naciągany". O ile bowiem w 35 minucie piłka po strzale Bartosza Kapustki otarła rękę Rahila Mammadova i choć początkowo nikt tego nie dostrzegł, to sygnał z wozu VAR jednoznacznie wskazał na jedenastkę dla Legii, więc tu nie ma sprawy. O tyle przy drugim karnym dopatrzenie się uderzenia w twarz Claude'a Goncalvesa przez obrońcę Radomiaka Damiana Jakubika, choć to w ferworze walki twarz legionisty zbliżyła się do ręki, a nie odwrotnie, było już mocno polemiczne – że jeszcze raz użyjemy eufemizmu. Dlaczego jednak tym razem monitor VAR nie zaprosił sędziego do siebie, trudno dociec. Pewne jest, że tym razem, w przeciwieństwie do wydarzeń gliwickich, Legia stała się beneficjentem pomyłki sędziego, a jedenastkę wykorzystał Marc Gual, zaś zdenerwowanym i protestującym gościom słaby rozjemca zafundował parę „cytrynek" za dyskusję...



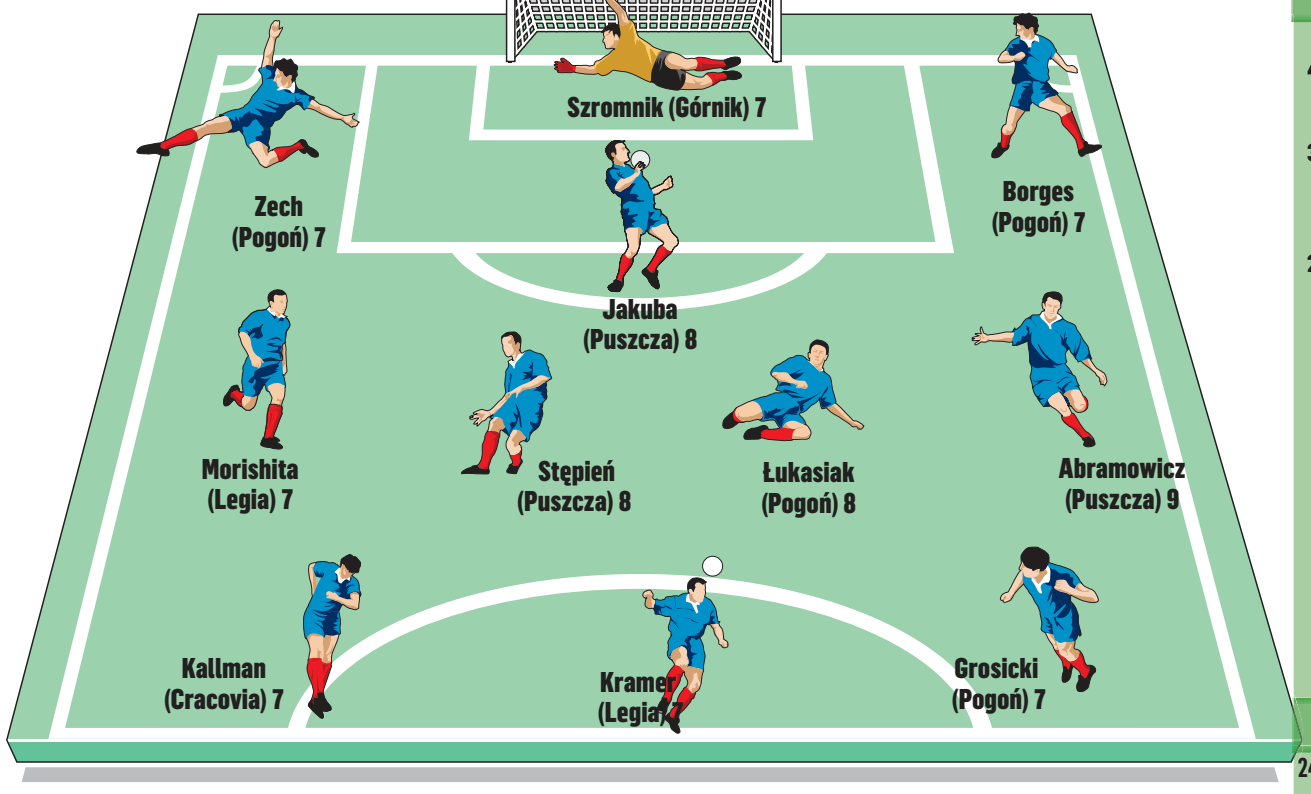
Fot. Michał Kość/Pressfocus.pl

Młody, ale skrajny - oto Damian Sylwestrzak.

Zbigniew Cieńciała

Sport 121eeffe49

JEDENASTKA KOLEJKI



■ **Michał SZROMNIK**
Gdyby nie genialna postawa bramkarza Górnika, zabrzanie o remisie mogliby co najwyżej pomarzyć. 31-latek bronił bez zarzutów, a w trudnych sytuacjach wyciągał swoich partnerów z zespołu z opresji. Rywale mieli z nim problemy nawet w sytuacjach sam na sam.

■ **Benedikt ZECH**
Austriacki defensor pewnie spisywał się w starciu z Widzewem. Co prawda łodzianie nie byli w stanie stworzyć poważnego zagrożenia pod bramką Pogoni, ale to też zasługa 33-latka. Rozegrał solidny mecz, dzięki czemu szczecinianie nie stracili gola.

■ **Roman JAKUBA**
Obrońcy Puszczy są bramkostrzelni. W poprzedni weekend gola zdobył Artur Craciun, strzelając z rzutu karnego, a tym razem dwukrotnie bramkarza Lechii pokonał Roman Jakuba. Ukrainiec wykazał się zmysłem strzeleckim w polu karnym.

■ **Leo BORGES**
W poprzednim sezonie często narzekano na formę Brazylijczyka, ale w spotkaniu z Widzewem zaprezentował się z bardzo dobrej strony. Nawet w doliczonym czasie, gdy szczecinianie mieli zwycięstwo w kieszeni, pewnie zablokował groźny strzał rywali.

■ **Ryoya MORISHITA**
Widać, że Japończyk dobrze czuje się od rozpoczęcia sezonu. Udowadniał to w meczach eliminacyjnych do Ligi Konferencji (gol przeciwko Broendby), ale potwierdza to także w spotkaniach ekstraklasy. Choć bramki Radomiakowi nie strzelił, był wyróżniającym się graczem.

■ **Konrad STĘPIEŃ**
Pomocnik błyskawicznie wyprowadził Puszczę na prowadzenie, strzelając gola w 2 minucie. Wykazał się sprytem w „16" przeciwnika i wskazał swojej drużynie drogę, którą powinna podążać. To on rozpoczął koncert strzelecki niepołomiczan.

■ **Kacper ŁUKASIAK**
Od początku meczu pomocnik był aktywny w ataku. Poskutkowało to drugim golem w sezonie, który dobił łodzian w drugiej połowie. Widać, że po powrocie z wypożyczenia (grał w Górniku Łęczna) jest gotowy na rywalizację w ekstraklasie.

■ **Dawid ABRAMOWICZ**
Niesamowicie wyrzuca piłkę z autu. Choć nie jest to typowy piłkarski komplement, w przypadku piłkarza Puszczy ma on spore znaczenie. Abramowicz robi to w genialny sposób i to po jego podaniach z boku boiska niepołomiczanie strzelili dwie bramki.

■ **Benjamin KALLMAN**
Fin zyskał latem dobrego partnera w ofensywie, bo Micka van Burena. Panowie prześcigają się w zdobywaniu goli. Ostatnio do siatki trafił Holender, a tym razem to właśnie Kallman zabłysnął i strzelił dwie bramki mistrzowi Polski.

■ **Blaž KRAMER**
Kibice Legii dwa lata czekali na to, aż Słoweniec w końcu zacznie grać na miarę swojego potencjału. W tym sezonie się odblokował. Z Radomiakiem strzelił trzecią bramkę w sezonie, tym razem pewnie wykorzystując rzut karny.

■ **Kamil GROSICKI**
Skrzydłowy wrócił po jednym meczu przerwy (absencja spowodowana była drobną kontuzją) i od razu pomógł swojemu zespołowi w zwycięstwie. Rajd na lewej stronie zakończył podaniem, które zamieniło się w asystę.

(kaj)

Snajperzy wystąp	
4	Ishak (Lech Poznań)
	Leonardo Rocha (Radomiak)
3	Kallman (Cracovia)
	Koulouris (Pogoń)
	Blaz Kramer (Legia)
	Kubicki (Jagiellonia)
2	Alvarez (Widzew)
	Ameyaw (Piast)
	Ceglarz (Motor)
	Chrapek (Piast)
	Dalmau (Korona)
	Diaby-Fadiga (Jagiellonia)
	Hotić (Lech)
	Jakuba (Puszcza)
	Kossidis (Puszcza)
	Luquinhas (Legia)
	Łukasiak (Pogoń)
	Jakub Łukowski (Widzew)
	van Buren (Cracovia)
	Zahović (Górnik)
	Zrelak (GKS)
	Szkurin (Stal)

Na trybunach	
24376	WARSZAWA (Legia - Radomiak)
19846	SZCZECIN (Pogoń - Widzew)
17078	BIAŁYSTOK (Jagiellonia - Cracovia)
17034	ZABRZE (Górnik - Raków)
14081	WROCŁAW (Śląsk - Korona)
13331	LUBIN (Zagłębie - Lech)
6684	KATOWICE (GKS - Motor)
4308	MIELEC (Stal - Piast)
1669	KRAKÓW (Puszcza - Lechia)

Żółte 38/Czerwone 1	
0/0	Widzew
0/0	Piast
1/0	Pogoń
1/0	Jagiellonia
1/0	Lechia
2/0	Puszcza
2/0	Cracovia
2/0	Motor
2/0	Górnik
2/0	Legia
2/0	Zagłębie
3/0	Lech
3/0	Katowice
3/0	Raków
4/0	Radomiak
4/0	Korona
5/0	Stal
1/2	Śląsk

Kryształowy gwizdek	
8	Piotr Lasyk (Bytom)
7	Szymon Marciniak (Płock)
7	Paweł Malec (Łódź)
6	Marcin Kochanek (Opole)
6	Damian Sylwestrzak (Wrocław)
6	Daniel Stefański (Bydgoszcz)
6	Damian Kos (Wejherowo)
5	Patryk Gryckiewicz (Toruń)
5	Łukasz Kuźma (Białystok)

TYPOWALI

	TRENER Jan Furlepa	PIŁKARZ Sławomir Szary	„SPORT" Bogdan Nather
Puszcza - Lechia ■ Wynik meczu: 4:1.	1:0 ✔	2:1 ✔	1:1
Katowice – Motor ■ Wynik meczu: 0:0.	1:0	2:0	3:1
Jagiellonia – Cracovia ■ Wynik meczu: 2:4.	2:0	3:1	1:0
Zagłębie – Lech ■ Wynik meczu: 0:1.	1:1	1:1	2:1
Pogoń – Widzew ■ Wynik meczu: 2:0.	1:0 ✔	2:1 ✔	1:1
Śląsk – Korona ■ Wynik meczu: 1:1.	2:2 ✔	1:1 ✖	2:0
Legia – Radomiak ■ Wynik meczu: 4:1.	2:1 ✔	3:1 ✔	2:0 ✔
Górnik – Raków ★ ■ Wynik meczu: 0:0.	0:0 ★	1:2	1:3
Stal - Piast ■ Wynik meczu: 2:0.	1:1	2:2	1:2

Każda „grupa zawodowa" jest rozliczana po zakończeniu kolejki.
Za wskazanie dokładnego wyniku na jej konto trafiają ✖ 3 punkty.
Za wskazanie poprawnego rozstrzygnięcia meczu ✔ 1 punkt.
Jeden mecz w kolejce punktowany jest podwójnie ★ 6 punktów za dokładny wynik, ★ 2 punkty za wskazanie rozstrzygnięcia.
Takie spotkanie oznaczone jest ★ .

KLASYFIKACJA

Trenerzy	Piłkarze	„Sport"
39 pkt	33 pkt	23 pkt

POSTAĆ KOLEJKI - MICHAŁ SZROMNIK

■ Drugi raz z rzędu piłkarzem meczu Górnika został Michał Szromnik. Tak było w poprzedniej kolejce, kiedy zabrzanie wygrali 2:1 z Radomiakiem na jego terenie i teraz, przy remisie z Rakowem. W meczu z ekipą Marka Papszuna golkiper „górników" wybronił 5 celnych strzałów rywala, a błysnął – zresztą jak w Radomiu – w pierwszej połowie. Najpierw zatrzymał piłkę po groźnym uderzeniu Ante Crnaca, a potem w sobie znany sposób wygrał rywalizację z Gustavem Berggrenem, nota bene najlepszym piłkarzem jedenastki spod Jasnej Góry na Stadionie im. Ernesta Pohla.



Michał Szromnik. Fot. Pressfocus.pl

Szromnik mimo 31 lat ma rozegranych w ekstraklasie ledwie 55 gier. Już jako nastolatek był obiecujący. Bronił w pierwszoligowej Arce Gdynia, żeby potem zmienić swoje Pomorze Gdańskie na Szkocję. W latach 2015-16 reprezentował Dundee United. Wiele tam nie pograł i wrócił do kraju, grając na zapleczu ekstraklasy w Bytowie, Opolu i Głogowie. W najwyższej klasie rozgrywkowej zadebiutował w wieku lat 27 w Śląsku Wrocław. W ekstraklasie najlepszy był dla niego jak dotąd sezon 2021/22, kiedy zagrał w 25 spotkaniach.

W kolejnym sezonie bronił na przemian z Rafałem Leszczyńskim.
W końcu latem zeszłego roku przeniósł się do Zabrza, gdzie trenerem bramkarzy jest znany mu z pracy we Wrocławiu Krzysztof Osiński, ceniony przez golkiperów szkoleniowiec,o czym nieraz zaświadczał Daniel Bielica, teraz już zawodnik holenderskiego NAC Breda.
W Górniku w lidze Szromnik zadebiutował po... roku! Wcześniej pozycja numer 1 była „zabetonowana" właśnie przez praktycznie wychowanka Bielicę. Kiedy wydawało się, że po pozyskaniu przez „górników" Filipa Majchrowicza dalej będzie numerem 2, to wygrał rywalizację i na dziś należy do najlepszych między słupkami w ekstraklasie. Oby tak dalej!

(zich)

Sport 121eeffe49

O człowieku, który szedł ja

Drugiego takiego w polskim futbolu nie było. I już zapewne nie będzie. Koleje losu Franciszka Smudy są wręcz zdumiewające. Momentami trudno uwierzyć, że to prawda...

Gdyby wybrać trzy cechy, które idealnie charakteryzowałaby Franciszka Smudę, pierwszą byłaby nieprawdopodobna ambicja. Przez całe życie nie znosił przegrywać. A w futbolu, który ukochał najbardziej - zwłaszcza. A przecież długo wydawało się, że nic wielkiego w piłce nie osiągnie, że nie ma na to szans. Wytrwał i zaskoczył wszystkich. Czy samego siebie też? Na to nie postawilibyśmy pieniędzy. Zawsze należał do ludzi, którzy wierzą w siebie. - Bo ja zawsze muszę osiągnąć cel, który sobie wyznaczyłem - powiedział, gdy prawie ćwierć wieku temu spotkaliśmy się w jego domu w Lubomi pod Raciborzem, niedaleko czeskiej granicy. To zdanie zapamiętaliśmy szczególnie.

Druga cecha? Uzmysłowiliśmy sobie również, że oprócz ambicji zawsze cechowała go staranność. Przykład? Na początku kariery, kiedy dzień przed meczem dowiadywał się, że zagra w podstawowym składzie, brał z klubu koszulkę i spodenki. Po to żeby w domu strój wyprać i wyprasować. U niego musiało być tip-top. - Schludności nauczyli mnie rodzice – wyjaśniał.

Piłkarz powinien spać z piłką pod poduszką.

Wreszcie - last but not least – trzecia cecha, który wyjdzie wam, gdy będziecie czytać ten tekst: upór.

Nie zwiesza się głowy po porażkach

Dziś jego rodzinna Lubomia liczy niespełna 4 tysiące mieszkańców. Franek (jako „Franz" stanie się powszechnie znany, gdy zacznie osiągać trenerskie sukcesy) pochodził właśnie stamtąd - z robotniczej rodziny, która w trudnych PRL-owskich czasach z trudem wiązała koniec z końcem. Ojciec Gerard pracował na kolei, matka Marta wychowywała czwórkę dzieci. Rodzice chcieli, żeby dzieci osiągnęły więcej i wszystkim się powiodło. Całe rodzeństwo było bardzo ambitne. Postawiło na naukę i dobrze na tym wyszło. Jan, młodszy brat Franciszka, ukończył Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie, pracował w Zakładzie Odmetanowania Kopalń w Wodzisławiu Śląskim. Siostra Krystyna to absolwentka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, uczyła potem niemieckiego w Liceum Ekonomicznym w Wodzisławiu. Druga siostra, Urszula, to absolwentka Akademii Ekonomicznej w Katowicach.



Fot Lukasz Laskowski/Pressfocus.pl

Robert Lewandowski i Franciszek Smuda podczas zgrupowania reprezentacji w Portugalii w lutym 2011.

Franek wybrał sport. – Zawsze, od kiedy pamiętam, bardziej interesowałem się piłką niż szkołą – mówił wiele lat temu. Nigdy nie wstydził się trudnych początków, niełatwego startu, wręcz przeciwnie. Tamte czasy z pewnością sprawiły, że stał się twardy. - Na wakacje nigdzie wtedy nie wyjeżdżałem. Od dwunastego roku życia przez pełne dwa miesiące pracowałem w pobliskim PGR-ze. Zbierałem snopki, żeby kupić garnitur, buty i zeszyty - wspominał tamte lata. Przeciwności losu go zahartowały; zwieszanie głowy po porażkach nie leżało w jego naturze, wręcz przeciwnie.

Z Lubomi do Raciborza, najbliższego miasta w okolicy, jest niespełna 17 km. Franek po ukończeniu podstawówki został tam uczniem Technikum Budowlanego. Unia, najlepsza, najbardziej znana drużyna z tego miasta (wychował się w niej m.in. starszy od Smudy o osiem lat Hubert Kostka) stała się wówczas znana w całej Polsce, a w latach 1963-65 grała nawet w ekstraklasie. Frankowi działało to na wyobraźnię, więc zapisał się do klubu.

Okazało się, że talent do piłki ma przeciętny, choć upór i ambicja pozwoliły mu osiągnąć poziom ekstraklasowy. Droga na to była jednak długa i wyboista. Jego znajomi z czasów gry powtarzali potem, że – obok wielokrotnie przywoływanej tu ambicji – jego atutem na boisku był bardzo mocny strzał z dystansu. Smuda po prostu umiał przywalić! W trakcie meczu w Niedobczycach koło Rybnika tak mocno uderzył piłkę z wolnego, że znokautowanego obrońcę karetka musiała odwieźć do szpitala.

Etap pierwszy: granie i chęć udowadniania

Gdy Franciszek Smuda miał 19 lat, trafił do Odry Wodzisław, grającej wówczas w III lidze. Zygfryd Kiermaszek, długoletni działacz i trener tego klubu, opowiadał nam przed laty, że klub załatwił mu kopalniany etat, bo w tamtych czasach tylko kopalnie reklamowały od wojska.

Był rok 1967. Franz dopiero musiał uczyć się obycia w futbolowym świecie. To jeszcze czas, gdy był narwany... Chciał być najlepszy, udowodnić innym, że się nadaje. Bronisław Majcherek, który grał z nim wtedy w jednej drużynie, opowiadał o sprawdzianie biegowym, który przeprowadził trener Eugeniusz Sobesto. - Miałem najlepszy czas, a Franek był drugi. Choć trener mówił Smudzie, że stoper nie kłamie, Franek nie potrafił się z tym pogodzić. Zniecierpliwiony pretensjami trener poradził Smudzie, żeby odpoczął pół godziny i spróbował jeszcze raz. Drugi rezultat był jednak jeszcze gorszy niż pierwszy. Smuda bardzo to przeżywał, nie mógł znieść.

Trenerka to nie jest taka prosta sprawa. Nie wystarczy rozdać koszulki, rzucić piłkę i powiedzieć: grajcie. Czasem trzeba piłkarza przytulić, a czasem trzymać na dystans. Raz jestem demokratą, raz dyktatorem, kiedy indziej anarchistą.

Koledzy z ówczesnej drużyny nadali mu ksywkę „Szałot" (po śląsku sałata), bo pochodził z okolic, gdzie w krajobrazie dominowały pola uprawne. Dziś trudno w to uwierzyć, ale zdarzało się, że był ofiarą żartów, często bezlitosnych .Cóż, światek futbolowy był i jest bezwzględny... Kiedyś Odra grała z drużyną z Chybia, małej miejscowości znanej z cukrowni, która była oczywiście sponsorem (pochodzą stamtąd bracia Stańkowie). W tamtych czasach cukier był towarem deficytowym. Smudzie zależało na załatwieniu sobie worka cennego towaru. Kiedy koledzy z drużyny o tym się dowiedzieli, od razu zwietrzyli szansę na dowcip. Śmiali się wszyscy poza ofiarą żartu. „Szałot" przyjechał do Chybia z workiem. Koledzy zamiast cukru wsypali mu... wapno używane do linii na boisku. Już po meczu zadowolony Smuda nie rozstawał się z wypełnionym workiem i wrócił z nim do domu. Następnego dnia, po powrocie do klubu, zrobił awanturę, ale kto by się tym przejmował...

LICZBY SMUDY

119

W TYLU ligowych i pucharowych meczach „Franz" prowadził Widzew od 30 kwietnia 1994 r. do połowy czerwca 1998. Średnia punktowa w tamtym czasie znakomita, bo aż 2,10 na spotkanie! Bliski pobicia tego rekordu był z Lechem (maj 2006 – czerwiec 2009). „Kolejorza" prowadził w 114 grach. Średnia punktów w wielkopolskim klubie wynosiła 1,82.

81

AŻ TYLU graczy przetestował w narodowym zespole w okresie pracy z reprezentacją (2009-12). W tym gronie jest aż 10 bramkarzy! Trzech z nich zagrało w zaledwie jednym spotkaniu: to Mariusz Pawełek, Sebastian Małkowski i Michał Gliwa. Dla dwóch ostatnich to jedyne występy w kadrze narodowej.

Natura choleryka

Ambicja potęgowała chęć rozwoju, sprawdzania się w coraz lepszych klubach. W 1970 r. młody stoper próbował załapać się do Ruchu Chorzów, mocnej wówczas drużyny. Pojechał z „niebieską" ekipą na letnie tournee do Gruzji. Tam jednak przyszło bolesne zderzenie z rzeczywistością . W barwach Ruchu nie zagrał ani jednego oficjalnego meczu, zadra została w nim na zawsze. Jego umiejętności nie zrobiły wrażenia na sławniejszych obrońcach. Znakomity Antoni Nieroba mówił nam, że nie zapamiętał w Ruchu piłkarza o nazwisku Smuda. - Jeśli był, to niczym się nie wyróżniał - stwierdził.

Smuda nie czekał. Pierwszy atak na ekstraklasę zakończył się kompletną klapą. Nie zrażał się, spróbował załapać się gdzieś indziej: w Mielcu. Tamtejsza Stal akurat znajdowała się przed najlepszym okresem w historii, wkrótce Grzegorz Lato i spółka zdobędą pierwszy tytuł mistrzowski. Występowało tam wielu niechcianych na Śląsku piłkarzy, m.in. zabrzanin Henryk Kasperczak. - Karierę w Mielcu zakończyłem po tym, jak nie wytrzymałem i trzasnąłem kierownika drużyny, bo nazwał mnie „Hanysem". Wyrzucili mnie. Tamtym zdarzeniem zwichnąłem sobie karierę – opowiadał Smuda po latach. Objawiła się jego natura choleryka.

Ale to właśnie w Stali udało mu się osiągnąć cel: debiut w ekstraklasie. Ogólnie w mieleckich barwach w sezonie 1970/71 rozegrał na tym poziomie 6 meczów. Pierwszych w ekstraklasie.

Jabłka od Fjanka

W Stali kariery nie zrobił, wrócił więc na Śląsk. Na zapleczu ekstraklasy powinno być łatwiej. Został zawodnikiem Piasta Gliwice, klubu mocno wówczas

Sport 121eeffe49

k taran i stał się legendą

osadzonego w drugoligowych realiach.

Ale tam też nie występował zbyt wiele. Przegrał rywalizację z innym obrońcą - Marcinem Żemaitisem, późniejszym prezesem Piasta i właścicielem kantoru w Gliwicach. Koledzy z Piasta lubili go, choć też nie szczędzili złośliwości. Nazywali go „Fjanek", ponieważ zawsze miał kłopoty z prawidłową wymową „r". Był też „Taśmą" (od tasiemca), bo jego ówczesny apetyt budził osłupienie. Marcin Żemaitis opowiadał, że podczas zgrupowaniu w Gdańsku, w przerwie pomiędzy treningami Franz zjadł w stoczniowej stołówce... dwie kaczki. W tym miejscu koniecznie jednak trzeba zwrócić uwagę, że Franciszek Smuda, potrafił o siebie dbać, nigdy, także po zakończeniu kariery, nie miał kłopotów z nadwagą. Ważył tyle co podczas kariery – nieco ponad 75 kg. Zaznaczał, że jest na to sposób. - Po prostu: nigdy nie jadam po godz. 18.00 - podkreślał.

Gdy stawał się ofiarą żartów, wychodziła natura choleryka. Koledzy z Piasta uwielbiali na treningu puszczać mu piłkę między nogami. W zakładaniu „siatek" specjalizował się zwłaszcza Karol Fajferek, malutki pomocnik, ślusarz z zawodu. Smuda jako człowiek niebywale ambitny nie mógł znieść ciągłych upokorzeń. Kiedyś nie wytrzymał: rzucił się na Fajferka i zaczął go dusić. Na szczęście nie zrobił krzywdy mniejszemu koledze.

Jak wspomina Andrzej Potocki, były prezes Piasta i historyk gliwickiego klubu – Smuda… kochał jabłka. Potocki: - Codziennie na trening przynosił sporą torbę renet lub makintoszów, po czym zostawiał je bez nadzoru. Oczywiście, jabłka natychmiast znikały, a Piast był chyba najlepiej zaopatrzoną w witaminy drużyną II ligi. A „Fjanek" konsekwentnie popełniał ten sam błąd….

Silosy w Stanach

W Piaście przytrafiło mu się nieszczęście. Doznał kontuzji wiązadeł krzyżowych z gry właściwie zrezygnował. W klubie przestali mu płacić, pomagali mu koledzy z drużyny. Ale nie dało się tak długo: z czegoś trzeba żyć. Wyjechał do USA żeby czyścić w środku i malować silosy olejowe albo zrywać azbest.

Po latach opowiadał, że w Gliwicach doszło wreszcie do niego, że ligowej kariery już nie zrobi. - Przestałem myśleć o piłce. Chciałem zarobić i ustawić się. Nie wiem, jak wytrzymałem pół roku w tej robocie, ale przykładałem się jak do każdej innej. Szef był zadowolony – mówił. Te słowa są znamienne, pokazują inną stronę jego charakteru. Kiedy coś robił – to na sto procent. Dawał z siebie wszystko – czy to na murawie czy w środku silosu. To pierwsze środowisko błędów jednak nie wybacza, w tym drugim – ten problem w ogóle nie istnieje.

Smudę ciągnęło jednak do futbolu, stara miłość nie rdzewieje. Kiedy podpisał pierwszy zawodowy kontrakt z klubem o nazwie Hartford Bicentennials, szef firmy, ceniący jego pracowitość nie chciał go puścić. Paradoks polegał na tym, że właśnie wtedy dostał możliwość gry przeciw najsławniejszym piłkarzom świata. Jego nowy zespół uczestniczył w North American Soccer League. Dzięki temu Smuda miał okazję zagrać przeciwko Pelemu (Cosmos Nowy Jork) i Eusebio (Boston). Zachował autografy obydwu.

Wracaj do Polski

Latem 1975 r. na tournee do Ameryki pojechała reprezentacja Polski. Trzecia drużyna świata nieoczekiwanie przegrała wtedy z Hartford ze Smudą w składzie 1:2. „Franz" przeciwko drużynie Kazimierza Górskiego zagrał wówczas bardzo dobrze.

Jeżdżę po Europie i robię, co mogę, aby namawiać dobrych piłkarzy do gry dla Polski. Jestem pewien, że gdyby wcześniej ktoś działał tak jak ja, to taki Podolski strzelałby bramki dla nas. Skąd mam brać tych piłkarzy? Znów się pewnie ktoś obrazi, ale z kibla ich nie wezmę.



Fot. Krzysztof Porębski / PressFocus

Franciszek Smuda jako trener Wieczystej.

- Powiedziałem mu wtedy: wracaj do Polski i spróbuj swoich sił w Legii - opowiadał Andrzej Strejlau, wtedy asystent Kazimierza Górskiego, który właśnie rozpoczynał pracę w wojskowym klubie. Smudzie kończyło się w Stanach pozwolenie na pracę, powrót trafił się więc w idealnym momencie.

Łudził się, że tym razem się uda. Mieszkał w wynajętym mieszkaniu na Mokotowie. Niestety - w ciągu trzech sezonów zagrał dla Legii ledwie 33 razy w ekstraklasie. Wszystko przez kontuzje (więzadła, potem mięsień Achillesa), które dopadły go w przełomowym momencie kariery. Gdyby nie one, mógłby zajść jako piłkarz znacznie dalej…

W 1977 r. Legia była na tournee w Indonezji. Mógł przejść do historii warszawskiego klubu jako piłkarz, który zapewnił zwycięstwo nad mistrzem Brazylii. Niestety – w meczu ze słynnym Atletico Mineiro (przypomnijmy tak pomnikowe postaci tego niezwykłego klubu jak Arthur Friedenreich, Eder czy Ladislao Mazurkiewicz). - W ostatniej minucie Legia mogła wtedy wygrać, ale Smuda nie trafił do bramki z trzech metrów. Andrzej Strejlau, były trener reprezentacji Polski, podkreślał, że miał o Smudzie bardzo dobre zdanie. - Zawsze przykładał się do treningów i nigdy nie miałem z nim kłopotów - mówił Strejlau.

Stracone oszczędności życia

W 1978 r. Smuda postanowił wrócić do Ameryki, jednak formalności związane z odbiorem paszportu przedłużały się. Chciał gdzieś podtrzymać formę, więc zgłosił się do klubu Rymer Niedobczyce, który awansował właśnie do ligi okręgowej. Po otrzymaniu paszportu nie wahał się. Stany Zjednoczone – ziemia obiecana. Tym razem spróbował szczęścia w Kalifornii. Grał w Los Angeles, w Oakland i w San Jose. W tym ostatnim mieście spotkał Niemca Volkera Fassa, doktora medycyny, byłego piłkarza Kickers Offenbach i Freiburga. To była ważna znajomość, potem przyjaźń. Fass przez lata pomagał Smudzie przygotowywać piłkarzy do sezonu.

Psychologa w drużynie nie potrzebuję. Nie mamy w drużynie wariatów.

Pokazał kolejną cechę charakteru: był twardy, choć akurat teraz przytrafiło mu się coś, co omal go nie złamało. Wspólnie z Kazimierzem Deyną, wówczas zawodnikiem San Diego Soccers, którego znał jeszcze z Legii, zostali oszukani przez Polonusa, który namówił ich na zainwestowanie w jego firmę budowlaną. Smuda stracił wówczas oszczędności życia - ponad 100 tys. dolarów. Przez trzy dni nie miał nawet na jedzenie. Przetrwał. Podniósł się.

Pistolet przystawiony do głowy

Pod koniec lat 70. wyjechał do Niemiec Menedżer Nico Berger zaproponował mu grę w SpVgg Fuerth (2. Bundesliga), klubie z przedmieść Norymbergi, w której Smuda zakotwiczył na wiele lat. Myślał o powrocie do Polski, ale zrezygnował, kiedy ogłoszono stan wojenny. Grę kończył w III-ligowym VfB Coburg. Kończył z graniem, ale nie potrafił skończyć z piłką. Zaczął trenować drużyny z niższych klas, a wieczorami dorabiał, remontując mieszkania. Jednocześnie kończył kurs trenerski prowadzony przez Niemiecki Związek Piłkarski (DFB). Pierwsza przygoda była trudna. Coburg, ten sam klub, w którym kończył jako piłkarz, zaczynał jako trener. Niestety: do CV musiał sobie wpisać spadek na czwarty poziom rozgrywkowy, choć trzeba pamiętać, że pracę stracił w trakcie sezonu.

W 1989 r. Smuda jako trener spróbował szczęścia w… Turcji. Pracę tam załatwił mu Hans Nowak, były obrońca Schalke 04 Gelsenkirchen i uczestnik mistrzostw świata w barwach NRF w 1962. Nowak zajmował się sprzedażą za granicę wyrobów Pumy. Smuda w Turcji uważany był nie za polskiego, a niemieckiego trenera.

Realizował się w klubach z Izmiru: Altayu i Konyasporze. W Altay SK pracował przez pięć miesięcy, prowadząc drużynę w jedenastu meczach. Pół roku później dostał jeszcze szansę w Konyasporze, ale tam wytrwał niecałe dwa miesiące, wygrał tylko jeden mecz. Miał wtedy odrzucić proponowanego mu do tego klubu Hakana Sukura, późniejszego najlepszego strzelca w historii tamtejszej reprezentacji. Tak czy inaczej – ze Smudą tureckie kluby nie spadły niżej.

- Kiedy działacze wiedzieli już, że odchodzę, to nie wypłacili mi pensji za ostatnie dwa miesiące. Wtedy nauczyłem się, żeby w jednej ręce trzymać pieniądze, a drugą podpisywać kontrakt – opowiadał po latach.

Znów dał znać o sobie jego zawadiacki charakter. Na jednym z treningów złapał za gardło piłkarza, który nie wykonywał jego poleceń. Nazajutrz zawodnik przyszedł z menedżerem, który przystawił Smudzie pistolet do głowy i kazał wyjaśnić incydent. Trener wyjaśnił sytuację, w efekcie „menedżer" wycelował z kolei w piłkarza. Od tego czasu zawodnik słuchał Smudy już bez zastrzeżeń.

LICZBY SMUDY

37

W TYLU
meczach prowadził reprezentację Polski. Debiutował spotkaniem z Rumunią w Warszawie 14 listopada 2009 roku, przegranym 0:1. Skończył takim samy rezultatem, także w kraju, we Wrocławiu, w trzecim grupowym meczu ME 2012 z Czechami, który kosztował nas wejście do ćwierćfinału Euro. Jego bilans z reprezentacją to 15 zwycięstw, 13 remisów i 9 porażek. Bramki 47:40.

6

TROFEÓW
ma na trenerskiej ścieżce. To dwa mistrzostwa Polski z Widzewem Łódź i jedno z Wisłą Kraków, Puchar Polski wywalczony z Lechem Poznań, a także dwa krajowe Superpuchary – jeden z Widzewem, drugi z Wisłą.

Sport 121eeffe49

Wspomnienie

O człowieku, który szedł ja


Największe sukcesy „Franz" odnosił jako szkoleniowiec Widzewa.

Fot. sport.tvp.pl

Języki

Wielu by się zdziwiło, ale Smuda podkreślał wielokrotnie, że dobry trener musi się ciągle kształcić: wyjeżdżać na zagraniczne konferencje i spotkania trenerskie. Czytać fachową literaturę zagraniczną, znać języki obce. Mówił w czterech: angielskim, niemieckim, hiszpańskim i... tureckim. Tego ostatniego nauczył się w pół roku podczas pracy w Altayu Izmir. - Nie miałem wyjścia. Tłumacz przekazywał zawodnikom zupełnie co innego niż mówiłem. Drużyna nie funkcjonowała tak, jakbym chciał. Wziąłem więc książkę i zacząłem się uczyć. Po sześciu miesiącach potrafiłem się dogadać z zawodnikami. Tłumacz był już niepotrzebny – opowiada. Po latach, kiedy w 1998 r. Wisła Kraków grała w Pucharze UEFA z Trabzonsporem, udzielał wywiadów po turecku.

Chciałby pan? - Bardzo!

Wydawało się, że Smuda jako trener dryfuje na mieliznę. Wszystko zmienił jeden telefon w 1993 r. Właśnie wtedy Franz rozpoczął trenowanie drużyny polskiej ekstraklasy i... zdumiewającą karierę. Zadzwonił Edward Socha, menedżer przedostatniej w tabeli Stali Mielec. Znali się jeszcze z Wodzisławia, Smuda tapetował koledze mieszkanie. W mielecką drużynę zainwestował Thomas Mertel, biznesmen z Norymbergi zajmujący się produkcją map samochodowych, mebli i wyposażenia biurowego. Smuda zgodził się na powrót natychmiast. To był strzał w dziesiątkę: uratował drużynę przed spadkiem. - W Mielcu narzekali na mnie, że mam twardą rękę. Wołali na mnie „hitlerowiec". A jak mnie w Mielcu zabrakło, to Stal szybciutko spadła z ligi – mówił. Odszedł kiedy zaczął podejrzewać drużynę o sprzedaż jednego z meczów, futbolowa korupcja wówczas szalała.

Z pracy w Stali zapamiętał go Andrzej Grajewski, ówczesny prezes Widzewa Łódź. - Czy chciałby pan być trenerem Widzewa? – zadzwonił zaraz do Smudy. – Bardzo! - bez namysłu odparł szkoleniowiec. - To proszę nie spóźnić się na poranny trening - powiedział Grajewski. Smuda natychmiast wskoczył w starego opla kadetta i przez całą noc pędził do Łodzi. Na trening zdążył.

Następne sezony to popis Smudy w polskiej lidze. - Franz wykorzystał wielką szansę - mówi Grajewski. - Franz wykorzystał wielką szansę - mówi Grajewski.

Złote lata, o rety!

To wtedy żarło mu jak nigdy. Zdobył dwa tytuły mistrza Polski z Widzewem, jeden z Wisłą. Jego drużyny rozgrywały mecze, które przeszły do legendy.

Tych spotkań było mnóstwo, aż trudno je zliczyć, jednak zwłaszcza jeden przeszedł do historii. 18 czerwca 1997 r. zespół prowadzony przez Franciszka Smudę wygrał ligowe rozgrywki w nieprawdopodobnych wręcz okolicznościach. Łodzianie zapewnili sobie wtedy tytuł nawet nie rzutem rzutem na taśmę – to określenie mówi zbyt mało. Do 85 minuty widzewiacy przegrywali w Warszawie z Legią 0:2 i wygrali 3:2. To nie było mistrzostwo Polski, to było mistrzostwo świata! Jednocześnie był to drugi złoty medal Smudy w lidze z rzędu. Coś wspaniałego, w Łodzi za to będą go kochać już zawsze! - Takie mecze zdarzają się raz na tysiąc lat! – mówił potem Smuda.

W „kompjuterze" to ja mogę sobie gołe baby pooglądać, a nie piłkarzy. Mój nos jest jak laptop. Mnie prawdziwy laptop służy jako podstawka pod kawę.

Rozwichrzone włosy, zaczerwieniona twarz

- Nie znam drugiego człowieka, który byłby tak głodny sukcesu jak on. Nawet gdyby przyszło mu trenować LZS Pasłęk, to i tak szybko zacząłby myśleć o awansie do ekstraklasy – opowiadał kiedyś Andrzej Grajewski.

Smuda okrzepł i uważał się za dobrego trenera: - Do tej pracy trzeba mieć talent. Albo człowiek się z nim rodzi, albo nie. Jeśli nie masz intuicji, nic nie pomoże ukończenie prestiżowych kursów.

Niechętnie mówił za to o swoich metodach szkoleniowych. - Żaden trener nie ujawnia wszystkich swoich tajemnic zawodowych - powtarzał w wywiadach. Spytaliśmy, czy na kimś się wzoruje. Smuda: - Najgorsze, jak człowiek kogoś małpuje, nawet samego siebie.

Jedno jednak było niezmienne. Podczas treningów u Smudy piłkarze zawsze grali „w dziada". - To przecież abecadło piłkarskie. Uczy piłkarzy refleksu, podejmowania decyzji. Lubią tę zabawę, bo podczas niej mogą się wyżyć – opowiadał nam Smuda.

Jeszcze jedno: bardzo przeżywał każde spotkanie swojej drużyny. To był jeden z najbardziej żywiołowo reagujących trenerów. Podczas meczu zawsze wrzeszczał i podskakiwał. Rozwichrzone włosy, zaczerwieniona twarz.

Szybka piłka w Piotrkowie

Po świetnym okresie w Widzewie i Wiśle przyszedł gorszy czas. W pewnym momencie „Franz" nie miał pracy i rozglądał się za nowym zajęciem.

Pod koniec 2002 r. przyjął ofertę Antoniego Ptaka z II-ligowej Piotrcovii Piotrków Trybunalski. Przygotował tę drużynę do rundy wiosennej, ale już po pierwszym spotkaniu, przegranym 0:4 z Arką Gdynia, został zwolniony. Dziennikarzom mówił wściekły, że szefowie klubu powinni iść sadzić buraki, a nie zajmować się futbolem.

Wtedy pojawiła się szansa na zatrudnienie w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. Poświęćmy tu trochę miejsca na historię, która ostatecznie nie wypaliła, niemniej działa na wyobraźnię, pokazuje, że Franciszek Smuda uwielbiał wyzwania!

Nigeryjski trop

W 2003 r. okazało się, że jest szansa objąć reprezentację… Nigerii! Wtedy ta afrykańska drużyna robiła większe wrażenie niż dziś, w zespole „Super Orłów" grali wówczas tacy gwiazdorzy jak Jay-Jay Okocha, Nwankwo Kanu czy Victor Agali.

Akurat było to w czasie, kiedy w Polsce gościł znany dziennikarz z Nigerii, Vincent Alumona, pracujący dla tamtejszych dzienników „Sports Souvenir" i „Complete Football". Doszło do jego spotkania ze Smudą i z jego nigeryjskim przyjacielem Tony Egwuatu. To lekarz z Nigerii, który od wielu lat mieszka w Polsce, który parał się też piłkarską menedżerką. Niejeden piłkarz z najludniejszego kraju Afryki przeszedł przez jego ręce i przyjechał grać do Polski. Swego czasu w Nigerii na rekonesansie był też z nim choćby Adam Nawałka.

Alumona napisał o trenerze z Polski w nigeryjskich mediach, a Egwuatu zakulisowo miał lobbować za Smudą. - W tamtym czasie nigeryjską federacją zawiadywał Taiwo Ogunjobi. Sprawa nie wyszła jednak poza rozmowy, bo ostatecznie nie byli zainteresowani takim rozwiązaniem. W tamtym okresie dominowała w Nigerii opcja holenderska, bo przecież szkoleniowcami reprezentacji byli tacy trenerzy, jak Clemens Westerhof , który zdobył z Nigeryjczykami Puchar Narodów Afryki, czy Jo Bonfrere, szczycący się z tą samą drużyną mistrzostwem olimpijskim. Ktoś z Polski nie zainteresował oficjeli z NFF – tłumaczy Egwuatu, który przyjaźnił się ze Smudą i nie może odżałować jego odejścia.

- Przecież jeszcze dwa miesiące temu rozmawialiśmy. Spotkaliśmy się na kawie w krakowskim „Wierzynku". Franek dopytywał: „Tony, kiedy znowu się spotkamy?". Świetna osoba, która zawsze wszystko musiała mieć poukładane. Zawsze miał czysty samochód i czyste buty, to był cały „Franz" – przypomina ze smutnym uśmiechem Egwuatu.

Wracając do Nigerii i Smudy… W styczniu i lutym 2004 r. Puchar Narodów Afryki odbywał się na stadionach Tunezji. „Super Orły" skończyły tam na trzecim miejscu. Dzięki pomocy Emmanuela Ekwueme, wtedy grającego w Wiśle Płock, udało się porozmawiać z Okochą, jednym z najlepszych piłkarzy w historii afrykańskiego futbolu. Na pytanie czy słyszał o polskim trenerze, który jest zainteresowany pracą w Nigerii, zaprzeczył. – Nie nic o tym nie wiem… Ale zaraz czy przypadkiem nie chodzi o… Jana Furtoka? To mój dobry kolega z okresu występów w Eintrachcie Frankfurt – zastanawiał się Okocha.

Zaatakowany autobus

To nie były jedyne zagraniczne i afrykańskie wątki w bogatej trenerskiej karierze Franciszka Smudy. Kilka lat po tym jak nie udało się w Nigerii, próbował zostać selekcjonerem Egiptu. „Faraonowie" to najbardziej utytułowana reprezentacja na Czarnym Kontynencie, która Puchar Narodów Afryki zdobywała aż siedem razy. Ostatecznie też nic z tego nie wyszło... Nie udał się również powrót do Turcji. Smuda rozmawiał wtedy z drugoligowym Vestel Manisaspor, ale na negocjacjach się skończyło. Zamiast Nigerii czy Turcji nadarzyła się okazja pracy na Cyprze, ale tylko przez 4 miesiące.

Umiem ocenić piłkarza nawet po tym, jak wchodzi po schodach.

Smuda akurat spadł z Widzewem z ekstraklasy, więc wyjechał na Wyspę Afrodyty w lipcu 2004 - do Omonii Nikozja.

- Początkowo szło dobrze. Wszystko zmieniła... pierwsza porażka w lidze, było po zabawie. Po przegranym spotkaniu z Anorthosis Famagusta zaatakowali nas kibice! A Jak cię zaatakują, to potem wszystko może się zdarzyć – wspominał. Autobus drużyny został obrzucony kamieniami, kibice grozili, że wysadzą go w powietrze.

- Tam zresztą fani rządzą piłką. Piłkarze wystosowali petycję do prezydenta, żebym dalej prowadził zespół, ale on bał się fanów i mnie zwolnił – opowiadał „Franz" po powrocie.

Zaraz potem został zaangażowany w niedalekiej

Sport 121eeffe49

k taran i stał się legendą

od rodzinnych stron Odrze Wodzisław, którą zdołał utrzymać w ekstraklasie w sezonie 2004/05. choć było trudniej niż się spodziewał.

Odrę przejął bowiem w zimie na j11. miejscu. Wiosną obsunęła się na przedostatnią pozycję, a to oznaczało konieczność gry w barażach o utrzymanie. Udało się jednak ograć... Widzew. O przygotowaniach zimowych wodzisławian krążyły wtedy legendy. Najlepszy napastnik Jacek Ziarkowski miał schudnąć w ich trakcie o wiele kilogramów. Koledzy śmiali się, że musiał potem kupować spodnie w mniejszym rozmiarze.

Widzę, jak piłkarze ruszają się w szatni. Jestem jak czarodziej. Wyczuwam intencje i atmosferę. Wiele razy, tuż przed meczem, powiedziałem kolegom asystentom: „słuchajcie, ten mecz to będzie kicha". I była.

Trampolina do reprezentacji

Udane były rozgrywki w sezonie 2005/06 z Zagłębiem Lubin zakończone zajęciem trzeciego miejsca. W efekcie - przenosiny do Poznania. Smuda pewnie tego się nie spodziewał, ale dobra praca z Lechem stała się trampoliną do reprezentacji. Franz wywalczył z klubem awans do rozgrywek grupowych. W Pucharze UEFA „Kolejorz" eliminował w edycji 2008/09 kolejnych rywali, żeby grać potem o punkty – zresztą z powodzeniem – z takimi rywalami, jak Nancy, Deportivo La Coruna, CSKA Moskwa czy Feyenoord! Po wygranej w Rotterdamie drużyna grała na wiosnę z Udinese, jednak już bez powodzenia. Z Lechem triumfował w maju 2009 na Stadionie Śląskim w Pucharze Polski.

W Poznaniu dziś przypominają, że tamta drużyna z Robertem Lewandowskim, Manuelem Arboledą czy Semirem Stiliciem należała do najlepszych w historii poznańskiego klubu. A prowadził ją właśnie Franciszek Smuda.

Marzenia czasem się spełniają, choć nie od razu

Po fatalnych eliminacjach do mistrzostw świata w RPA, pod koniec 2009 piłkarskie władze zwolniły ze stanowiska Leo Beenhakkera, na króciutko zastąpił go Stefan Majewski. Szefostwo z prezesem Grzegorzem Latą na czele zdecydowało, że nowym selekcjonerem zostanie właśnie Smuda. Ziściło się jego marzenie, dodatkowo miał przecież poprowadzić zespół narodowy podczas Euro 2012 na polskich stadionach. To było ogromne wyróżnienie!

Ciekawostka: pierwszy raz Smuda kandydatem na selekcjonera był już w 1999, po odejściu Janusza Wójcika. Wręcz faworytem. - Zaczepiali mnie ludzie na ulicy i mówili: „Panie Franku, weź pan reprezentację" – wspominał po latach. A jednak Michał Listkiewicz, prezes PZPN, poparł wówczas kandydaturę Jerzego Engela, menedżera Polonii Warszawa. Tłumaczył, że Smudę obowiązywał ważny kontrakt z Legią. Smuda był rozczarowany, ale zapomniał o tym dekadę później.

- Z trenerem Smudą miałem okazję do współpracy przy dwóch meczach kadry z Rumunią i Kanadą. W Lechu się rozminęliśmy, bo ja trafiłem tam w 2009, kiedy akurat on odszedł. Wiele o nim od chłopaków słyszałem anegdotek, bo była to barwna postać naszej piłki. Dla mnie to pozytywna, uśmiechnięta osoba – wspomina Seweryn Gancarczyk, 6-krotny reprezentant Polski w latach 2006-09.

Nasza narodowa kadra mocno wtedy dołowała. Przegrane z kretesem eliminacje MŚ, 56 miejsce w rankingu FIFA... Smuda wziął się ostro do pracy i zaczęło się testowanie na potęgę kolejnych kandydatów do gry w narodowych barwach, a także... poszukiwania tzw. farbowanych lisów (Perquis, Obraniak, Polanski, Boenisch, Matuszczyk).

Czasami wszystko ocierało się o groteskę. Wiosną 2011 r. podczas ligowego meczu Górnik – Legia na starym stadionie w Zabrzu kibice przygotowali specjalną oprawę dla selekcjonera. Na jednej z trybun pojawiły się baner z napisem: „Do kadry zostali powołani. Adamiak Alicja. Adamiak Adam". Dalej wisiała płachta z napisami: „Wszystkich trzeba wypróbować", a „Torcida" wywiesiła własny transparent o treści: „Nas też wypróbuj". Tamte szyderstwa wzbudziły poklask.



Fot. Krzysztof Porębski/Pressfocus.pl

Wieczysta Kraków - ostatni etap trenerskiej pracy Franciszka Smudy.

Treningi mi się śnią. Rano wszystko pamiętam i zapisuję.

Trzeba mieć trochę szczęścia

Najgorsze jednak miało dopiero nadejść, choć wielu kibiców chyba przeczuwało jak to się skończy... A polsko-ukraińskie Euro zakończyło się dla nas sportową klapą. Polska zakończyła turniej u siebie na ostatnim miejscu w grupie, nie potrafiąc wygrać nawet jednego meczu, choć na gigantów nie natrafiła: Czechy i Grecja, które awansowały do ćwierćfinałów, zaraz potem z nich odpadły. Rozgoryczenie w narodzie było ogromne, ludzie na wyścigi wypominali selekcjonerowi błędy, które w ich ocenie popełnił w trakcie Euro. Drwili. Dyskutowali o personalnych decyzjach, oceniając je jako błędy. Przykład? Smuda pominął niespodziewanie przy nominacjach na Euro grającego wtedy w Torino Kamila Glika. W trójce „odstrzelonych" w ostatniej chwili zawodników byli jeszcze Michał Kucharczyk i Tomasz Jodłowiec. Glik był oczywiście rozżalony takim obrotem sprawy, a jak pokazała przyszłość, tamta decyzja ówczesnego selekcjonera nie obroniła się. W miejsce Glika pojechał wtedy Marcin Kamiński.

- Fakt, że ktoś jest na mnie zły, w ogóle mnie nie interesuje. Gdyby trenerzy postępowali tak jak piłkarze chcą, to nie trzeba by szkoleniowców i żaden trener nic by nie osiągnął. Nigdy! Był moment, kiedy pozbyłem się Boruca i Żewłakowa i było głośno. Za jakiś czas znowu jakaś bomba wypadnie... Ale ja zacząłem to czyścić. Kamil Glik akurat ma szczęście, że w Turynie gra, bo co by było, gdyby tam nie występował? Akurat w życiu piłkarskim, zresztą nie tylko w nim, trzeba mieć trochę szczęścia, żeby się poukładało – tak tłumaczył swoje decyzje Smuda.

W efekcie „Franz" pożegnał się z reprezentacją. Zastąpił go w niej inny śląski trener - Waldemar Fornalik.

Remont szatni

Smuda nie zrezygnował z zawodu, choć ludzie pamiętali mu to Euro. Epizody stały się smutne.

Po pół roku dostał szansę pracy w Jahnie Ratyzbona, najgorszej wówczas drużynie 2. Bundesligi. Ale Smuda, który wrócił do Niemiec po dwudziestu latach, nigdy wcześniej nie pracował tak wysoko. Niestety: prowadzona przez niego drużyna wygrała ledwie jeden z piętnastu meczów i spadła z ligi. Po latach Franz miał satysfakcję, że w klubie udało mu się doprowadzić do... wyremontowania szatni.

Ostatni raz w polskiej ekstraklasie pracował w Górniku Łęczna. Wygrał pięć z osiemnastu spotkań, w efekcie nie udało się utrzymać klubu. Krótko potem odszedł do Widzewa, by pomóc mu w wygraniu III ligi. Po dwóch bezbramkowych remisach, na kolejkę przed końcem sezonu stracił pracę. To Radosław Mroczkowski wygrał ten ostatni mecz i w efekcie świętował przygotowany przez Smudę awans. Pod koniec 2018 roku „Franz" znów znalazł zatrudnienie w Łęcznej, w II lidze. Były selekcjoner wygrał trzy z dziewięciu meczów i pod koniec marca się pożegnał. Przez ponad dwa lata był poza zawodem. Wydawało się, że burzliwa kariera dobiegła końca, ale wtedy odezwała się Wieczysta, klub z ogromnymi ambicjami i możliwościami finansowymi, ściągający wielu piłkarzy nawet z reprezentacyjną przeszłością.

Smuda pracował w Wieczystej od lipca 2021 do września 2022 r, awansując z „żółto-czarnymi" na poziom III ligi, i to już koniec.

Będziesz legendą, człowieku

Czy ma pan jakieś hobby oprócz piłki? – pytaliśmy w Lubomi, choć z góry wiedzieliśmy jaka będzie odpowiedź. Smuda podrapał się wtedy po czubku głowy, milczał przez chwilę, zastanawiał się. - Najbardziej lubię odpoczywać w saunie albo na basenie - odpowiedział. Futbol był dla niego wszystkim.

Nakręcony w 2013 r. film dokumentalny, który opowiadał o reprezentacji Polski w trakcie nieszczęsnych polsko-ukraińskich mistrzostw Europy, nosił zaskakujący tytuł „Będziesz legendą, człowieku". Wówczas Franciszek Smuda nie mógłby przypuszczać, że tytuł najpełniej odniesie się do jego właśnie osoby.

Bo przecież taka jest prawda: po przebyciu długiej, zawiłej, pełnej bolesnych upadków, ale i pięknych wzlotów piłkarskiej kariery - Franciszek Smuda przeszedł do legendy. Zasłużył.

Tego nikt mu nie odbierze.

Paweł Czado, Michał Zichlarz

FRANCISZEK SMUDA

■ Urodził się 22 czerwca 1948 r. w Lubomi, zmarł 18 sierpnia 2024 w Krakowie

■ **Kariera piłkarska**: Unia Racibórz (1962-67), Odra Wodzisław (1967-69), Ruch Chorzów (1970), Stal Mielec (1970-71), Piast Gliwice (1971-74), Vistula Garfield (USA, 1975), Hartford Bicentennials (USA, 1975), Legia Warszawa (1975-77), Rymer Niedobczyce (1978), Los Angeles Aztecs (USA, 1978), Oakland Stompers (USA 1978), San Jose Earthquakes (USA, 1978), SpVgg Greuther Fuerth (RFN, 1979-82), VfR Coburg (RFN, 1982).

■ **Kariera trenerska**: VfR Coburg (RFN, 1983), ASV Fuerth (RFN, 1984-87), Eintracht Süd Nürnberg (RFN, 1987-88), FC Herzogenaurach (RFN, 1988), Altay Izmir (Turcja, 1989), Konyaspor Izmir (Turcja, 1992), FV Wendelstein (Niemcy, 1993), Stal Mielec (1993-95), Widzew Łódź (1995-98), Wisła Kraków (1998-99), Legia Warszawa (1999-2001), Wisła Kraków (2001-02), Widzew Łódź (2002), Piotrcovia Piotrków Trybunalski (2003), Widzew Łódź (2003-04), Omonia Nikozja (Cypr, 2004), Odra Wodzisław (2004-05), Zagłębie Lubin (2005-06), Lech Poznań (2006-09), Zagłębie Lubin (2009), reprezentacja Polski (2009-12), SSV Jahn Regensburg (Niemcy, 2013), Wisła Kraków (2013-15), Górnik Łęczna (2016-17), Widzew Łódź (2017-18), Górnik Łęczna (2018-19), Wieczysta Kraków (2021-22).

Sport 121eeffe49

Wspólny mózg

Real Madryt zaczął sezon falstartem. Kilka dni temu drużyna cieszyła się ze zwycięstwa w Superpucharze UEFA, w niedzielę zremisowała z Mallorcą.

Mistrzowie Hiszpanii, zwycięzcy Ligi Mistrzów rozpoczęli sezon od remisu ze średniakiem La Ligi. Real przyleciał na Majorkę, trudny teren, żeby pewnie zwyciężyć. Spotkanie świetnie rozpoczęło się dla „Królewskich", gdy Rodrygo zdobył bramkę w 13 minucie. Wydawało się, że ekipa Carlo Ancelottiego będzie mogła dopisywać do swojego bilansu trzy punkty, a tymczasem zespół Mallorki doprowadził do wyrównania. Wynik 1:1 utrzymał się do ostatniego gwizdka.



Fot. PAP/EPA

Kylian Mbappe (z prawej) nie zapamięta swojego debiutu w lidze hiszpańskiej.

Po spotkaniu w internecie hitem stało się nagranie z tunelu stadionu, gdzie w przerwie pomiędzy pierwszą a drugą połową spotkali się Kylian Mbappe, Rodrygo oraz Vinicius. Razem omawiali ustalenia na mecz w języku hiszpańskim. Nagle obok nich pojawił się Jude Bellingham, który zaczął mówić do nich po angielsku, przekazując dobrze słyszalne w nagraniu słowa. – Musicie kończyć akcje, bo bieganie do tyłu jest zaje... trudne – powiedział Anglik. – Właśnie o tym rozmawialiśmy, musimy kończyć strzałem – odpowiedział mu Mbappe. Rozmowa odbyła się jeszcze przy stanie 1:0 dla Realu, ale była przepowiednią tego, co nadeszło. Real stracił przewagę i nie był w stanie przedostać się przez linię obrony Mallorki. Ekipa z Balearów znana jest ze szczelnej defensywy. Taką pozostawił ją trener Javier Aguirre (odszedł z klubu wraz z końcem czerwca i został selekcjonerem Meksyku), a jego myśl szkoleniową kontynuuje Jagoba Arrasate. Mimo wszystko nie powinno być to elementem usprawiedliwienia dla „Los Blancos". To zespół wypchany po brzegi gwiazdami, który z przeciętnym przeciwnikiem z Majorki powinien pewnie wygrać.

Zdaje sobie z tego sprawę Carlo Ancelotti. Doświadczony szkoleniowiec przyszedł na pomeczową konferencję prasową w ponurym humorze. – Nie był to dobry mecz, choć dobrze go zaczęliśmy. Musimy przede wszystkim lepiej bronić. Potrzebujemy równowagi, bo jesteśmy zespołem niezwykle ofensywnym, a równowaga jest niezbędna – stwierdził Włoch, który chwilę później został zapytany, w jaki sposób uzyskać równowagę, o której marzy. – Gracze muszą myśleć w ten sam sposób. Kiedy odzyskamy piłkę, wszyscy musimy myśleć razem. Nasz problem nie polega na błędach jednego zawodnika, dwóch czy trzech. To kłopot zespołu, który nie zrozumiał, że wspólne myślenie jest kluczowym aspektem. Mallorca zagrała świetnie w defensywie. Remis jest sprawiedliwym wynikiem – przekazał 65-letni szkoleniowiec. Choć jest to dopiero początek sezonu, strata punktów może boleć, bo odwieczny rywal z Barcelony swoje pierwsze spotkanie wygrał.

Kacper Janoszka

Mallorca – Real Madryt 1:1 (0:1)
0:1 – Rodrygo (13), 1:1 – Muriqi (53)
Valladolid – Espanyol 1:0 (1:0)
1:0 – Moro, (23).

Villarreal - Atletico Madryt zakończył się po zamknięciu wydania

1. Celta	1	3	2:1
Vallecano	1	3	2:1
Barcelona	1	3	2:1
4. Valladolid	1	3	1:0
5. Las Palmas	1	1	2:2
Sevilla	1	1	2:2
7. Real M.	1	1	1:1
Mallorca	1	1	1:1
Bilbao	1	1	1:1
Betis	1	1	1:1
Getafe	1	1	1:1
Osasuna	1	1	1:1
Girona	1	1	1:1
Leganes	1	1	1:1
15. Villarreal	0	0	0:0
16. Atletico	0	0	0:0
17. Real Sociedad	1	0	1:2
Alaves	1	0	1:2
Valencia	1	0	1:2
20. Espanyol	1	0	0:1

1-4 – LM, 5 – LE, 6 – LK, 18-20 - spadek

Superpuchar u dominatora

Sezon w Bundeslidze jeszcze się nie zaczął, a Bayer już zdobył pierwsze trofeum.

Bayer Leverkusen wciąż jest w tej samej formie, którą prezentował w poprzednim sezonie. Ekipa Xabiego Alonso przyzwyczaiła widzów do wygrywania. Wiele razy zdarzało się, że zespół zdobywał zwycięską bramkę na wagę remisu bądź zwycięstwa w doliczonym czasie, doprowadzając przeciwników do frustracji. Tak też było w sobotę, w Superpucharze Niemiec. „Aptekarze" mierzyli się z VfB Stuttgart i wygrali po serii rzutów karnych. Mecz był jednak niezwykle pasjonujący, przede wszystkim dlatego, że w 37 minucie czerwoną kartką ukarany został Martin Terrier. Dzięki temu Stuttgart wygrywał do 88 minuty 2:1. Wtedy Bayer się obudził, do siatki trafił Patrik Schick, a dogrywka i rzuty karne były już tylko dodatkiem do dania głównego.

Z 11 metrów ekipa ze Stuttgartu pomyliła się dwukrotnie. Nie trafili Frans Kraetzig oraz Silas. Bayer był natomiast bezbłędny.

Nic dziwnego, że podopieczni Sebastiana Hoenessa czuli mocne rozczarowanie po zakończeniu rywalizacji. Emocję wzięły górę w przypadku Deniza Undava, który nie gryzł się w język. – Jeśli gra się przeciwko dziesięciu zawodnikom i prowadzi się 2:1, nie można przegrać. Zawsze popełniamy gówniane błędy. Być może kilku graczy było wystraszyła atmosfera, ale to nie powinno się zdarzyć na tym poziomie. Zostaliśmy ukarani za błędy. Wkurza mnie to, że przegraliśmy pomimo tego, że wygrywaliśmy – powiedział po spotkaniu wzburzony 28-latek, który rozpoczął mecz na ławce rezerwowych.

W zupełnie innych nastrojach jest drużyna z Leverkusen. Xabi Alonso musiał jednak uspokajać dziennikarzy, którzy po zwycięstwie zaczęli zadawać mu pytania, czy po raz kolejny Bayer szykuje się na rozegranie sezonu bez porażki. – Nie jesteśmy głupi. To, co wydarzyło się w zeszłym sezonie, minęło – stwierdził niemiecki szkoleniowiec. Mimo wszystko celem zespołu na najbliższe zmagania dalej jest wygrana na każdej płaszczyźnie. – Wysłaliśmy sygnał dla innych zespołów, że znów chcemy być na szczycie. Nie straciliśmy głodu – przekazał Lukas Hradecky, bramkarz Bayeru. Jeśli Superpuchar ma być wyznacznikiem na kolejny rok zmagań, czeka nas bardzo podobny sezon do minionego.

(kaj)

Serce krwawi

Nie milkną echa kompromitacji Napoli na początku sezonu.

WŁOCHY

Przyjście Antonio Conte miało zwiastować lepsze czasy dla ekipy spod Wezuwiusza. Doświadczony szkoleniowiec miał zagwarantować walkę o szczyt tabeli. Zamiast tego zaliczył gigantyczny falstart. Hellas w poprzednim sezonie zakończył rozgrywki rozgrywki na 13. miejscu. Zespół prowadzony przez Paolo Zanettiego nie był traktowany jako jeden z tych, które mają walczyć chociaż o puchary. Tymczasem po niedzielnych grach Hellas został liderem ligi, choć po spotkaniu z Atalantą spadła na drugą lokatę.

Paweł Dawidowicz (rozegrał cały mecz) mógł pękać z dumy, gdy jego koledzy ustawiali do pionu maszynę budowaną przez Conte. Oczywiście wiele sytuacji stworzyło sobie Napoli. Nieskuteczność była ogromna i bolesna. Szczególnie, że gole strzelone przez ekipę z Werony nie były wybitnej jakości. Mimo to triumf był efektowny, a Napoli zostało ośmieszone. Sam szkoleniowiec ekipy spod Wezuwiusza nie ukrywał rozczarowania. - Jest mi po prostu wstyd, a rzadko zdarzało mi się to w pracy szkoleniowej czy jako zawodnik. Jest mi wstyd za ten występ, serce mi krwawi. Możemy jedynie, wraz z zawodnikami, którzy, myślę, czują to samo, przeprosić za to co kibice dzisiaj widzieli. Jako trener ponoszę za to odpowiedzialność. To, co pokazaliśmy w drugiej połowie nie jest do zaakceptowania - powiedział po meczu Conte. Ekipa spod Wezuwiusza ma na szczęście trochę czasu, by poprawić grę. Nie ma go jednak nazbyt wiele. Szczególnie że w najbliższej kolejce czeka ich pojedynek z Bolonią. Co prawda zespół Łukasza Skorupskiego zremisował z Udinese, jednak zaprezentował się nieźle, czego o Napoli nie można powiedzieć.

(ptom)

1. Atalanta	1	3	4:0
2. Verona	1	3	3:0
3. Lazio	1	3	3:1
4. Genoa	1	1	2:2
5. Inter	1	1	2:2
6. AC Milan	1	1	2:2
7. Torino	1	1	2:2
8. Bolonia	1	1	1:1
9. Udinese	1	1	1:1
10. Fiorentina	1	1	1:1
11. Parma	1	1	1:1
12. Monza	1	1	0:0
13. Roma	1	1	0:0
14. Empoli	1	1	0:0
15. Cagliari	1	1	0:0
16. Juventus	0	0	0:0
17. Como	0	0	0:0
18. Venezia	1	0	1:3
19. Napoli	1	0	0:3
20. Lecce	1	0	0:4

1.-4. - LM, 5. - LE, 6. - LKE, 18.-20. - spadek

FRANCJAAAAAA

1. Marsylia	1	3	5:1
2. PSG	1	3	4:1
3. Lille	1	3	2:0
4. Rennes	1	3	3:0
5. Auxerre	1	3	2:1
6. Monaco	1	3	1:0
7. Lens	1	3	1:0
8. Strasbourg	1	1	1:1
9. Montpellier	1	1	1:1
10. Nantes	1	1	0:0
11. Toulouse	1	1	0:0
12. Nicea	1	0	1:2
13. St. Etienne	1	0	0:1
14. Angers	1	0	0:1
15. Reims	1	0	0:2
16. Le Havre	1	0	1:4
17. Lyon	1	0	0:3
18. Brest	1	0	1:5

1.-3 – LM, 4. - el. do LM, 5. - LE, 6. - LKE, 16. - baraż, 17.-18 – spadek.

Lazio - Venezia 3:1 (2:1)

0:1 - Andersen (3), 1:1 - Castellanos, 2:1 - Zacagni (44, karny), 3:1 - Altare (81. samobójcza)

Cagliari - Roma 0:0

Lecce - Atalanta 0:4 (0:2)

0:1 - Brescianini (36), 0:2 - Retegui (45), 0:3 - Retegui (57. karny), 0:4 - Brescianini (66)

Mecz Juventus - Como zakończył się po zamknięciu numeru.

POLSKIE AKCENTY

LIGA MISTRZÓW

We wtorek i środę odbędą się mecze ostatniej rundy eliminacji piłkarskiej Ligi Mistrzów. O awans walczą m.in. Adam Buksa z Midtjylland i Kamil Piątkowski z Red Bull Salzburg, który zagra w Lublinie z Dynamem Kijów. Łącznie rywalizacja toczy się w siedmiu parach. Trzy mecze zaplanowano na wtorek, a cztery na środę. Wszystkie rozpoczną się o godz. 21.00.

Program 4. rundy eliminacji Ligi Mistrzów (wszystkie mecze o godz. 21.00)

20 sierpnia, wtorek
ścieżka mistrzowska
Dinamo Zagrzeb - Karabach Agdam
Bodoe/Glimt - Crvena Zvezda Belgrad

ścieżka ligowa
Lille - Slavia Praga

21 sierpnia, środa

ścieżka mistrzowska
Young Boys Berno - Galatasaray Stambuł
FC Midtjylland - Slovan Bratysława
Malmoe FF - Sparta Praga

ścieżka ligowa
Dynamo Kijów - Red Bull Salzburg; mecz w Lublinie

Rewanże - 27-28 sierpnia.

Sport 121eeffe49

Nie muszę się wstydzić

Rozmowa z **Grzegorzem Kopernickim**, trenerem trzecioligowej Cariny Gubin

Co zadecydowało o waszej wygranej z Pniówkiem 74 Pawłowice?

- Nasza dobra gra (uśmiech). Zapewne oczekuje pan, że wskażę klucz do zwycięstwa 2:1... Wydaje mi się, że była nim zmiana naszego ustawienia w porównaniu do dwóch poprzednich meczów ze Stalą Brzeg i Ślęzą Wrocław. To z pewnością zaskoczyło naszego przeciwnika. Pniówek jest zespołem grającym bardzo fizycznie, a my pod względem fizycznym wytrzymaliśmy trudy tego spotkania. Nie znam jeszcze raportu, ale tak to wyglądało z perspektywy ławki rezerwowych.

Nie ukrywam, że zaskoczyła mnie zmiana, jakiej dokonał pan w przerwie, zdejmując z boiska Dawida Paraszczaka, który bardzo dobrze radził sobie na lewej stronie i desygnując w jego miejsce Rafała Dzidka. Czym była podyktowana ta roszada?

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy, były to względy taktyczne. Jak się później okazało, decyzja okazała się słuszna, bo Dzidek zdobył dla nas zwycięską bramkę.

Kontuzja Wiktora Nahrebeckiego jest bardzo poważna. Widziałem, że po zakończeniu spotkania wyraźnie utykał...



Fot. slezawroclaw.pl

Grzegorz Kopernicki (z prawej) uważa, że w bieżących rozgrywkach dysponuje lepszym zespołem niż w ubiegłym sezonie.

- W tej chwili nie mogę nic sensownego powiedzieć na ten temat, musimy poczekać na szczegółowe badania. Może to być jednak poważny uraz, ponieważ ucierpiał jego mięsień dwugłowy. Oby nie było to zerwanie, a jedynie naciągnięcie.

Pracuje pan z piłkarzami Cariny ponad cztery lata, bo od 8 kwietnia 2020 roku. Co pa uważa za swój największy sukces w tym okresie?

- Myślę, że kilku osiągnięć nie muszę się wstydzić. Awans do 3. ligi w sezonie 2020/21, 5. miejsce w niej w sezonie 2022/23, zwycięstwo w Pucharze Polski na szczeblu okręgu i awans do 1/8 finał rozgrywek centralnych, w których z Piastem Gliwice.

Jaki cel wam przyświeca w bieżących rozgrywkach? Tylko walka o utrzymanie, czy może mierzycie zdecydowanie wyżej?

- Chcielibyśmy jak najszybciej zapewnić sobie utrzymanie i na mecie zameldować się w środku tabeli. Walka do ostatniej chwili o pozostanie na tym szczeblu to nic przyjemnego.

O awansie na razie nie myślicie?

- Nie, ponieważ nie mamy - przynajmniej na razie - żadnych argumentów sportowych i organizacyjnych. Wiadomo, że to pieniądze napędzają koniunkturę. W tej chwili czekamy na rozpoczęcie budowy nowego stadionu. Projekt był już dwa razy zmieniany, właśnie powstaje trzeci, więc wszystko rozciąga się w czasie.

W tym sezonie dysponuje pan lepszą drużyną niż w poprzednich rozgrywkach?

- Muszę odpowiedzieć twierdząco. Przede wszystkim jest progres ilościowy. W poprzednim sezonie miałem w kadrze 16 zawodników przygotowanych do gry na tym poziomie, teraz jest ich 24. Przepraszam, na razie tylko 22, ponieważ Brazylijczyk Elorhan Matheus i Japończyk Takato Sakai nie zostali jeszcze potwierdzeni do rozgrywek. Ale to i tak jest znaczący postęp w porównaniu do poprzedniego sezonu.

Sprawdziłem, że karierę piłkarską zakończył pan dopiero w 2018 roku w Sparcie Grabik. Przez kilka lat łączył pan grę z pracą szkoleniowca, bo Promień Żary prowadził pan od 12 lipca 2013 roku, a potem była Sprotavia i Dozamet Nowa Sól. Nie miał pan problemów, by to wszystko pogodzić?

- Nie, ponieważ była to czysta rekreacja, a nie poważne granie w piłkę. Wspomniana przez pana Sparta Grabik, w której grałem przez kilka lat, walczyła w „okręgówce" i w klasie A. To była gra dla przyjemności, żadne pół-zawodowstwo.

Rozmawiał
Bogdan Nather

ŚLĄSKA KLASA A

BIELSKO-BIAŁA

Wilamowice - Wilkowice II 1:1, Wapienica - Bestwinka 3:0, Ligota - Kozy 2:4, Międzybrodzie B. - Kaniów 2:1, Porąbka - Pisarzowice 1:1, Bystra - Grodziec Śl. 5:1, Czaniec II pauzował.

1. Bystra	1	3	5:1
2. Wapienica	1	3	3:0
3. Kozy	1	3	4:2
4. Międzybrodzie B.	1	3	2:1
5. Pisarzowice	1	1	1:1
Porąbka	1	1	1:1
Wilamowice	1	1	1:1
Wilkowice II	1	1	1:1
9. Kaniów	1	0	1:2
10. Ligota	1	0	2:4
11. Bestwinka	1	0	0:3
12. Grodziec Śl.	1	0	1:5
Czaniec II	-	-	-

LUBLINIEC

Strzebiń - Sieraków Śl. 7:2, Kochanowice - Ciasna 1:2, Łagiewniki Wlk. - Koszęcin 1:1, Babienica-Psary - Kalety II 10:1, Lisów - Przystajń 2:1, Lisowice - Olszyna przełożony na 9 listopada, Pawonków - Tworóg przełożony na 10 listopada.

1. Babienica	2	6	13:3
2. Ciasna	2	6	7:2
3. Koszęcin	2	4	3:2
4. Tworóg	1	3	6:0
5. Strzebiń	2	3	8:7
6. Lisowice	1	3	4:3
Pawonków	1	3	4:3
8. Lisów	2	3	5:5
9. Łagiewniki Wlk.	1	1	1:1
10. Przystajń	2	0	3:5
11. Kochanowice	2	0	2:4
12. Sieraków Śl.	2	0	5:11
13. Olszyna	1	0	0:6
14. Kalety II	1	0	1:10

RACIBÓRZ

Pawłów - Raszczyce 0:3, Krzanowice - Markowice 2:3, Nieboczowy - Pietrowice Wlk. 2:2, Studzienna - Pietraszyn 2:0, Zabełków - Rudy Wlk. 0:1, Chałupki - Bełsznica 3:2, Nowa Wieś - Gamów 2:2, Borucin - Krzyżkowice 5:1.

1. Borucin	2	6	8:3
2. Raszczyce	2	6	7:2
3. Studzienna	2	6	3:0
4. Gamów	2	4	4:2
5. Bełsznica	2	3	5:3
6. Pietraszyn	2	3	5:4
7. Markowice	2	3	5:6
8. Rudy Wlk.	2	3	1:1
9. Chałupki	2	3	3:4
10. Krzyżkowice	2	3	4:7
11. Pietrowice Wlk.	2	2	3:3
12. Nowa Wieś	2	1	4:5
13. Krzanowice	2	1	3:4
14. Nieboczowy	2	1	4:7
15. Pawłów	2	0	2:6
16. Zabełków	2	0	0:4

SKOCZÓW

2. kolejka: Goleszów - Pielgrzymowice 0:1, Pruchna - Bąków 4:2, Pierściec - Hażlach II 1:3, Iskrzyczyn - Kończyce Wlk. 1:0, Dębowiec - Zabłocie 9:2, Brenna - Kończyce M. 1:3, Chybie pauzowało; 3. kolejka: Zabłocie - Brenna 0:0, Kończyce Wlk. - Dębowiec 0:3, Hażlach II - Iskrzyczyn 3:1, Bąków - Pierściec 3:1, Pielgrzymowice - Pruchna 1:4, Chybie - Goleszów 2:1, Kończyce M. pauzowały.

1. Pruchna	3	9	11:5
2. Dębowiec	3	7	15:5
3. Chybie	2	6	7:2
4. Hażlach II	3	6	8:5
5. Iskrzyczyn	3	6	6:3
6. Kończyce M.	2	4	6:4
7. Bąków	3	4	7:7
8. Pierściec	3	3	5:7
9. Pielgrzymowice	3	3	3:9
10. Brenna	2	1	1:3
11. Goleszów	3	1	3:5
12. Zabłocie	3	1	2:13
13. Kończyce Wlk.	3	0	1:7

TYCHY

Studzienice - Woszczyce 2:1, Wisła Wlk. - Wola 1:3, Jankowice - Bieruń St. 8:1, Gardawice - Łąka 0:1, Rudołtowice -Ćwiklice - Cielmice 0:1, Czułowianka Tychy - Chełm Śl. 3:4, Siódemka Tychy - Międzyrzecze 4:1, Bojszowy pauzowały; wynik meczu Wola - Bojszowy (1:3) zweryfikowano na 3:0 (wo).

1. Wola	2	6	6:1
2. Studzienice	2	6	6:2
3. Łąka	2	6	5:1
4. Chełm Śl.	2	6	7:5
5. Jankowice	2	3	9:5
6. Międzyrzecze	2	3	6:4
7. Siódemka	2	3	5:5
8. Cielmice	2	3	2:2
Gardawice	2	3	2:2
10. Bieruń St.	2	3	4:9
11. Woszczyce	1	0	1:2
12. Rudołtowice	2	0	2:4
13. Bojszowy	1	0	0:3
14. Wisła Wlk.	2	0	2:6
15. Czułowianka	2	0	3:9

ZABRZE

Wielowieś - Toszek 7:3, Pławniowice - Zaborze 0:0, Wilcza - Sośnica II Gliwice 0:2, Stanica - Pilchowice 2:2, Żernica - AP Team Gliwice 1:5, Ciochowice - Łany Wlk. 0:6, Ornontowice II - Carbo Gliwice 2:0, Rudno pauzowało.

1. AP Team	2	6	10:2
2. Łany Wlk.	2	6	9:1
3. Wielowieś	2	6	10:4
4. Zaborze	2	4	4:1
5. Pilchowice	2	4	4:2
6. Sośnica II	2	4	3:1
7. Ornontowice II	2	3	3:3
8. Pławniowice	2	2	1:1
9. Stanica	1	1	2:2
10. Carbo	1	0	0:2
11. Rudno	1	0	1:5
12. Wilcza	2	0	0:4
13. Żernica	2	0	2:8
14. Ciochowice	1	0	0:6
15. Toszek	2	0	4:11

ŻYWIEC

1. kolejka: Ujsoły - Koszarawa Żywiec 9:0, Cięcina - Cisiec 2:2, Trzebinia - Lipowa 2:3, Leśna - Radziechowy-Wieprz II 6:0, Czarni-Góral Żywiec - Gilowice 1:2, Łękawica II - Jeleśnia 5:1, Stal-Śrubiarnia II Żywiec - Sopotnia 5:1; 2. kolejka: Jeleśnia - Stal-Śrubiarnia II 1:3, Radziechowy-Wieprz II - Czarni-Góral 0:3, Lipowa - Leśna 2:3, Cisiec - Trzebinia 3:0, Ujsoły - Cięcina 4:1, Sopotnia - Koszarawa 3:1, Gilowice Łękawica II przełożony na 9 listopada.

1. Ujsoły	2	6	13:1
2. Leśna	2	6	9:2
3. Stal-Śrubiarnia II	2	6	8:2
4. Cisiec	2	4	5:2
5. Łękawica II	1	3	5:1
6. Czarni-Góral	2	3	4:2
7. Gilowice	1	3	2:1
8. Lipowa	2	3	5:5
9. Sopotnia	2	3	4:6
10. Cięcina	2	1	3:6
11. Trzebinia	2	0	2:6
12. Jeleśnia	2	0	2:8
13. Radziechowy II	2	0	0:9
14. Koszarawa	2	0	1:12

CENTRALNA LIGA JUNIORÓW

Pogoń Szczecin - Legia Warszawa 5:3, Zagłębie Lubin - Śląsk Wrocław 1:1, Arka Gdynia - Lech Poznań 1:2, Odra Opole - Escola Varsovia 0:3, Górnik Zabrze - Stal Rzeszów 1:1, Polonia Warszawa - Lechia Gdańsk 0:1, Jagiellonia Białystok - Warta Poznań 3:0, Cracovia - Wisła Kraków 1:4.

1. Jagiellonia	2	6	7:0
2. Varsovia	2	6	7:1
3. Lech	2	6	6:1
4. Górnik	2	4	5:1
5. Stal	2	4	5:3
6. Polonia	2	3	4:2
7. Cracovia	2	3	4:4
8. Pogoń	2	3	5:6
9. Wisła	2	3	4:5
10. Legia	2	3	7:8
11. Lechia	2	3	1:4
12. Śląsk	2	1	4:5
13. Zagłębie	2	1	1:5
14. Arka	2	0	2:6
15. Odra	2	0	2:7
16. Warta	2	0	1:7

(m)

Sport 121eeffe49

Intensywnie granie



Fot. Nowak-Mosty MKS Będzin.

Damian Schulz (z prawej) ma już za sobą pierwsze mecze w barwach MKS-u.

Za siatkarzami z Będzina już cztery sparingi. - Wiemy co robimy źle, a co dobrze. Teraz tylko trenować... - stwierdził Damian Schulz, atakujący beniaminka PlusLigi.

NOWAK-MOSTY MKS BĘDZIN

W Będzinie przygotowania do zaczynającego się już za niespełna miesiąc nowego sezonu PlusLigi idą pełną parą. Za siatkarzami już cztery sparingi. Wygrali z pierwszoligowym Energetykiem Jaworzno 3:1, przegrali 1:3 i zremisowali 2:2 ze Ślepskiem Malow Suwałki oraz zremisowali 2:2 z Steam Hemarpol Norwid Częstochowa 2:2. Trener Dawid Murek miał więc doskonałą okazję, by sprawdzić wszystkich zawodników. - Oczywiście nie jest to jeszcze to, co byśmy oczekiwali, ale to normalne. To dopiero pierwsze sparingi i nasze organizmy nie są przygotowane do optymalnego grania – tłumaczył Dawid Murek. - Nie była to wybitna siatkówka w naszym wykonaniu. Nie oczekujmy, że teraz będziemy skakać i grać pięknie, bo nie o to chodzi. Mamy jeszcze dużo do przepracowania w każdym elemencie. Próbujemy różnych ustawień. W zespole jest wiele nowych twarzy i dopiero się poznajemy. Musimy się zgrywać, zwłaszcza z rozgrywającym. Po to właśnie są te sparingi. A że mieliśmy trzy dzień po dniu, po prostu tak wyszło. Ale i dobrze, bo mogliśmy popróbować różnych wariantów – dodał.

Jednym z nowych zawodników z Będzinie jest atakujący Damian Schulz. To powinien być lider zespołu. Obok rozgrywającego Grzegorza Pająka, ma największe doświadczenie. W PlusLidze nieprzerwanie występuje od 2014 roku. Grał w Treflu Gdańsk, Asseco Resovii, Indykpolu AZS Olsztyn, PHE Skrze Bełchatów, Cerradzie Czarnych radom i ostatnio w Bogdance LUK Lublin. Jest mistrzem świata z 2018 roku, zdobywał Puchar Polski (2015, 2018) oraz srebro (2015) i brąz (2018) mistrzostw kraju. - Do tej pory z trenerem Dawidem Murkiem nie współpracowaliśmy. Poznajemy się i docieramy. Z każdym dniem powinno być lepiej – powiedział doświadczony atakujący, który pozytywnie ocenił ostatnie spotkanie kontrolne z ekipą z Częstochowy. - Wyglądamy coraz lepiej. Mamy sporo materiału do analizy. Wiemy co robimy źle, a co dobrze. Teraz tylko trenować i co najważniejsze wszyscy jesteśmy zdrowi – podkreślił.

W grze będzinian sporo jest jeszcze mankamentów. Przede wszystkim szwankuje druga akcja. Zawodnicy popełniają również sporo błędów i zdarzają im się przestoje. W starciu ze Ślepskiem Malow np. wygrywali już 18:13, triumfowali, ale tylko 25:23. Gdy gra będzie o stawkę, takie wahanie dyspozycji może okazać się bardzo kosztowne. - Musimy dopracować organizację gry, by łatwe piłki dokładnie dogrywać do naszego rozgrywającego i przede wszystkim musimy poprawić kontry. Bardzo mało ich skończyliśmy, a PlusLiga nam tego nie wybaczy. Każda konta musi być skończona. Jest jeszcze miesiąc do rozpoczęcia sezonu i w tym czasie będziemy ciężko pracować – zapewnił środkowy Mateusz Siwicki.

Już w czwartek MKS rozegra kolejny sparing i czeka go spore wyzwanie. Zagra na wyjeździe z mistrzem kraju, Jastrzębskim Węglem.

(mic)

Umiarkowana satysfakcja

Zawsze jest apetyt na więcej, ale jesteśmy zadowolone z 9. miejsca - tak Aleksandra Wachowicz podsumowała start w mistrzostwach Europy.

SIATKÓWKA PLAŻOWA

Holenderskie miasta Haga, Apeldoorn oraz Arnhem były gospodarzami mistrzostw Europy. Wystartowały 32 pary męskie i kobiece. W rywalizacji kobiet najlepsze okazały się Niemki, Svenje Mueller i Cinja Tillmann, a wśród mężczyzn Łotysze Martins Plavins i Kristians Fokerots.

W Holandii Polskę reprezentowały cztery duety, żeński i trzy męskie. Niestety, żadnemu z nich nie udało się przebić choćby do czołowej ósemki. Nie zawiodły jedynie Jagoda Śliwka i Aleksandra Wachowicz, które sklasyfikowane zostały na 9. miejscu. W fazie grupowej wygrały dwa spotkania z wymagającymi przeciwniczkami i doznały porażki z topową europejską parą z Łotwy, Tiną Graudiną i Anastasiją Samoilovą. W fazie pucharowej przeszły jedną rundę, ale w 1/8 finału przegrały z brązowymi medalistkami mistrzostw świata z 2022 roku i późniejszymi triumfatorkami holenderskich zawodów, Tillmann i Mueller.

- Zawsze jest apetyt na więcej, ale jesteśmy zadowolone z 9. miejsca - powiedziała Aleksandra Wachowicz. - Jesteśmy przede wszystkim zadowolone z tego, jak grałyśmy na tym turnieju. Drabinka układa się różnie no i tym razem na tyle wystarczyło - dodała Jagoda Śliwka.

Jak przyznały nasze zawodniczki, styl Niemek im nie pasuje. - To trudne dla nas rywalki, przede wszystkim jeśli chodzi o styl gry. W siatkówce plażowej jest tak, że niektóre przeciwniczki ci bardziej pasują, a inne mniej. Dziewczyny grały bardzo fizycznie, bardzo mocną zagrywką, a przez to nie było nam łatwo grać kombinacyjnie tak, jak lubimy. Do tego miały bardzo wysoki pułap w ataku i to też nie jest nasz ulubiony styl - powiedziała o Niemkach Śliwka.

Wśród mężczyzn największe szanse na włączenie się do walki o medale mieli nasi olimpijczycy z Paryża, Michał Bryl i Bartosz Łosiak. Nie dograli jednak nawet do zakończenia fazy grupowej. Wycofali się z powodu problemów zdrowotnych. Piotr Kantor i Jakub Zdybek oraz Piotr Janiak i Jędrzej Brożyniak odpadli z kolei w 1/16 finału.

(mic)

Doborowy kwartet

Zestaw wszystkich finalistów na pewno w dużej mierze może być zaskoczeniem, bo chyba mało kto liczył na parę amerykańską.

TENIS

Turniej WTA 1000 na twardych kortach w Cincinnati był generalną próbą przed ostatnim Wielkim Szlemem - US Open w Nowym Jorku. Szczególne powody do zadowolenia ma finałowy kwartet tej imprezy. Aryna Sabalenka wyeliminowała Igę Świątek 6:3, 6:3 i było to jej czwarte zwycięstwo w 12. potyczce obu pań. Jej rywalką w rozstrzygającym spotkaniu była Amerykanka Jessica Pegula, która w półfinale pokonała Hiszpankę Paulę Badosę 6:2, 3:6, 6:3. Frances Tiafoe, ulubieniec miejscowej publiczności, został pierwszym od 11 lat amerykańskim finalistą tej imprezy, pokonując Duńczyka Holgera Rune 4:6, 6:1, 7:6(4). Jego rywalem został Włoch, Jannik Sinner, pokonując Niemca Alexandra Zwierewa 7:6(9), 5:7, 7:6(4).

Szczęśliwy czas

Dla Peguli oraz Badosy nastał dobry okres, bo nim przybyły do Cincinnati, zaliczyły zwycięstwa w poprzedzających te imprezę. Pegula triumfowała w WTA 1000 w Toronto, zaś Hiszpanka (36. w rankingu) była najlepsza w WTA 500 w Waszyngtonie. Ich półfinałowa potyczka znów toczyła się z przerwami z powodu kapryśnej aury. Amerykanka rozpoczęła od mocnego uderzenia, bowiem od 4:0. Jednak Badosa zdołała się pozbierać i odrobiła breaka, ale seta musiała zapisać na straty. A po nim obie tenisistki znów musiały się schronić w szatni przed deszczem i przerwa trwała godzinę. A po niej Pegula znów zdobyła dwa punkty z rzędu, ale 26-lenia Hiszpanka nie poddała się, zaczęła grać niemal bezbłędnie i wyszła na 3:2. Grała cierpliwie i w ósmym gemie znów przełamała rywalkę i wygrała 6:3. W decydującej odsłonie obie pilnowały swoich podań, a o wszystkim zadecydował znów ósmy gem. Amerykanka postarała się o breaka i zakończyła spotkanie przy własnym serwisie. Dlatego w finale nie doszło do spotkania dwóch przyjaciółek, Sabalenki i Badosy. Finał Białorusinki z Amerykanką rozpoczął się po zakończeniu tego wydania naszej gazety.

Historyczny wyczyn

Tiafoe w dość szczęśliwych okolicznościach wyeliminował w ćwierćfinale Huberta Hurkacza (6:3 i krecz) i mało kto oczekiwał, że poradzi sobie z wyżej notowanym Duńczykiem Rune. I pierwszy, przegrany 4:6, set zdawał się to tylko potwierdzać. Jednak w drugim Tiafoe, ku radości kibiców, zwyciężył 6:1! Horror czekał nas w decydującej odsłonie, bowiem Rune prowadził już 5:3, ale Amerykanin zdołał przełamać rywala i w kolejnym gemie, broniąc dwie piłki meczowe, doprowadził do 5:5. O losach tej emocjonującej potyczki rozstrzygnął tie-break, a nim Amerykanin grał odważnie i wygrał. W tym meczu miał 13 asów, trzy przełamania i 26 uderzeń wygrywających. Tym samym wpisał się w historię zawodów, bowiem skopiował wyczyn rodaka, Johna Isnera z 2013 r. Wówczas Isner przegrał z Rafaelem Nadalem 6:7(8), 6:7(3). Spotkanie Sinnera ze Zwieriewem trwało trzy godziny i 7 minut i również zakończyło się tie-breakiem 7:6(9), 5:7, 7:6(4). To było jedno z najlepszych spotkań w tym sezonie – wedle tenisowych ekspertów. W 1. secie Niemiec nie wykorzystał wielu szans, bo miał przełamanie, ale nie wytrzymał nerwowo i stąd też tie-break. A w nim miał trzy setbole. Przy remisie 9-9 popełnił kolejne dwa błędy i Sinner mógł się cieszyć ze zwycięstwa. Drugi set miał podobny przebieg, ale tym razem tenisista z Hamburga w 12. gemie wywalczył piłkę setową i Sinner posłał smecza w siatkę. A w trzecim znów rozgorzał twardy bój i znów rozstrzygnął tie-break. W nim 23-letni Włoch prowadził 6-3 i takiej sytuacji nie zmarnował. Tym samym awansował do 19. finału i w nocy polskiego czasu stanął przed szansą zdobycia 15. tytułu w karierze.

(sow)



Fot. PAP/EPA

Amerykanin Frances Tiafoe awansował do finału prestiżowego turnieju.

Sport 121eeffe49

Klamra spinająca stulecie



Rozmowa z **Rafałem Makowskim** prezesem Polskiego Związku Kolarskiego

Spotkaliśmy się na 81. Tour de Pologne, więc zacznę od pytania o wizytówkę polskiego kolarstwa w świecie. Czym dla pana jest organizowany przez Czesława Langa wyścig należący do UCI World Tour?

- Na Tour de Pologne reprezentowałem Polski Związek Kolarski, czyli - można powiedzieć - byłem gościem. Jako gość więc powiem, że jest to niezwykle potrzebny wyścig na polskiej scenie kolarskiej. Dla mnie, jako prezesa PZKol, najbardziej istotne jest, że w tym wyścigu może startować kadra Polski, składająca się z siedmiu kolarzy. W tym roku wybrana została spośród zawodników jeżdżących na co dzień w trzech polskich grupach III dywizji, czyli HRE Mazowsze Serce Polski, Voster ATS Team i Lubelskie Perła Polski, a także Santic-Wibatech, która polską grupą była jeszcze niedawno. Istotne jest, że dzięki temu polscy zawodnicy mają możliwość szukania szans w starciu z zawodnikami z zagranicznych najlepszych grup. Nasi kolarze mogą pokazać potencjał i zaprezentować się właścicielom i dyrektorom sportowym grup ze światowej elity. To przecież może im otworzyć drogę do podpisania kontraktu, jeżeli któryś z nich „wpadnie w oko". Można powiedzieć, że to jest okno wystawowe polskiego kolarstwa.



Katarzyna Niewiadoma to wizytówka polskiego kolarstwa. Fot. Mourad Allili/SIPA/PressFocus

A jak oceni pan polskie kolarstwo z olimpijskiej perspektywy?

- Srebrny medal Darii Pikulik jest fenomenalnym wynikiem, wspaniałym rezultatem, spinającym klamrą stulecie startów Polaków na igrzyskach. W 1924 r. w Paryżu, na pierwszej olimpiadzie, w której biało-czerwoni oficjalnie wystartowali z orzełkiem na piersiach, zespół w składzie: Józef Lange, Jan Łazarski, Tomasz Stankiewicz i Franciszek Szymczyk sięgnął po pierwszy medal, srebrny w wyścigu drużynowym na 4000 metrów na dochodzenie. Taki sam krążek wywalczyła Daria Pikulik 100 lat później, sięgając po wicemistrzostwo w omnium na torze Velodrome de Saint-Quentin-en-Yvelines. Można więc mówić o pewnej symbolice i sukcesie, z którego się cieszymy. A nie zapominajmy też o pozostałych dobrych wynikach naszych reprezentantów, bo mamy jeszcze sześć miejsc w pierwszej dziesiątce. Mateusz Rudyk był 5. w sprincie oraz 10. w keirinie, Urszula Łoś, Marlena Karwacka i Nikola Sibiak zajęły 7. miejsce w sprincie drużynowym, tak samo jak Wiktoria i Daria Pikulik w madisonie, a na szosie Katarzynę Niewiadomą w wyścigu ze startu wspólnego sklasyfikowano na 8. miejscu, a Martę Lach na 10. pozycji.

Czy to wszystko na co było stać polskie kolarstwo w Paryżu?

- Nie. Olbrzymia szkoda i niepowetowana strata to brak medalu Katarzyny Niewiadomej. Strasznie tego żałuję, bo była świetnie przygotowana, co udowodniła na Tour de France. To potwierdza, że przygotowała na ten czas absolutnie życiową dyspozycję. Na ostatnich kilometrach w Paryżu również pokazała, że jest bardzo mocna, ale to jej dało „tylko" 8. miejsce, bo chwilę wcześniej musiała zwolnić i utknęła za kraksą. Gdyby wtedy była z przodu i znalazła się w pierwszej grupie, nie mam żadnych wątpliwości, że biłaby się o medal, niewykluczone, że złoty. Mateusz Rudyk natomiast już w ćwierćfinale sprintu indywidualnego trafił na późniejszego złotego medalistę, Harriego Lavreysena, więc drogę do medalu miał ekstremalnie trudną.

Oglądał pan te wydarzenia bezpośrednio na olimpijskich arenach?

- Nie. Byłem tam raptem dwa dni. Pojechałem na zaproszenie prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego i nie miałem żadnej akredytacji. To, co się dzieje w Paryżu, obserwowałem głównie sprzed telewizora. Z tej perspektywy uważam, że zawodnicy pojechali na miarę swoich możliwości. Natomiast fakt, że w Polsce mamy tylko trzy grupy zawodowe i to III dywizji, pokazuje wprost, że nie jesteśmy potęgą w kolarstwie mężczyzn na szosie. Oczywiście robimy wszystko, żeby tym najlepszym zawodnikom pomóc, żeby ich wypromować, natomiast to panie grają pierwsze skrzypce i to jest wielka zasługa klubów, jak zawodowej grupy MAT ATOM Deweloper Wrocław i klubu TKK Pacific Toruń.

Jednak reprezentanci Polski narzekali na Polski Związek Kolarski. Jak pan odebrał te słowa?

- Zawodnicy w emocjach przed i postartowych mówią wiele rzeczy. Mam świadomość, że perspektywa zawodnika jest inna niż perspektywa prezesa. Wspieram zawodników jak mogę. Kiedy Mateusz Rudyk rozwiązywał swoją sprawę tymczasowego zawieszenia przez UCI tuż przed startem w Paryżu, to osobiście się w to zaangażowałem. Mam świadomość, że zawodnicy życzyliby sobie szkolenia na jeszcze wyższym poziomie, bo spoglądają z zazdrością na ekipy torowe z Wielkiej Brytanii, Australii czy Holandii, ale nasze możliwości są jakie są i robimy wszystko, żeby zawodników kolarstwa torowego zabezpieczyć. Utrzymanie wszystkich grup elity w kolarstwie torowym kosztuje prawie 5 milionów złotych na rok, a utrzymanie kadry szosowej kobiecej i męskiej oraz MTB kobiecej i męskiej kosztuje około miliona. Z tych liczb łatwo jest wyciągnąć wniosek, że kadra torowa ma tych środków zdecydowanie najwięcej.

Dlaczego więc sprzęt torowców docierał z opóźnieniem, a stroje dopiero tuż przed startem?

- Mamy świadomość, że finansowanie szkolenia w kadrach torowych ruszyło z opóźnieniem. Dodam jednak, że szosowcy, jak i zawodnicy MTB jeżdżą na swoich rowerach klubowych, natomiast wszyscy reprezentanci w kolarstwie torowym byli zaopatrzeni w sprzęt z Polskiego Związku Kolarskiego z poprzedniego roku. Torowcy to jedyna grupa, która dostaje sprzęt. Daria Pikulik miała swój rower z poprzedniego roku, na którym mogła trenować, i na którym wywalczyła kwalifikację olimpijską. Nowy rower, który był dla niej zamówiony przez Wielkopolski Związek Kolarski, otrzymała w maju albo czerwcu. To był rower lepszy od tego, który zawodniczka miała wcześniej. A jeżeli chodzi o stroje, to gdy jako Polski Związek Kolarski dowiedzieliśmy się o problemie - zareagowaliśmy niezwłocznie! Kiedy okazało się, że strój, który został zamówiony przez Wielkopolski Związek Kolarski nie przeszedł kontroli startowej w Paryżu, natychmiast zorganizowaliśmy dostawę zupełnie nowego, żeby zawodniczka mogła wystąpić na igrzyskach. Mam świadomość tego, że można było te sprawy załatwić szybciej, natomiast takie sytuacje zdarzyły się ze względu na sytuację, w której Polski Związek Kolarski nie jest odpowiedzialny za szkolenie kadr narodowych w tym roku.

Co zrobić, żeby się nie zdarzały? Czy właśnie o tym rozmawiał pan w ministrem sportu?

- Wiem, że pan minister Sławomir Nitras szykuje zmiany w prawie, i że to Instytut Sportu będzie odgrywał istotną rolę w szkoleniu w takich sytuacjach, w jakiej jest teraz Polski Związek Kolarski. W związku z tym, że nowelizacja jeszcze nie weszła w życie, nie chcę wychodzić przed szereg i powiem jedynie, że czekamy na zmiany w prawie i jako Polski Związek Kolarski deklarujemy chęć współpracy. Chcemy, dzięki wysiłkom grup zawodowych w Polsce, jak i naszym w prowadzeniu kadr zrobić wszystko, żeby zawodnicy nie tracili kontaktu z czołówką światową. Trzy lata temu uruchomiliśmy projekt „Kadra juniora młodszego". To miał być krok naprzód, żeby te największe talenty kolarskie miały okazję ścigać się i sprawdzić na tle młodzieży za granicą. Widzimy, w jakim kierunku rozwija się kolarstwo, w którym coraz młodsi zawodnicy podpisują kontrakty zawodowe. Nie chcieliśmy, żeby nasza młodzież pozostawała w tyle, jednak ten projekt został zatrzymany przez Wielkopolski Związek Kolarski, który odpowiada za szkolenie kadr w tym roku, i niestety upadł, nad czym bardzo ubolewam. Teraz jest jednak czas podsumowań po igrzyskach i to jest także okres kolejnych planów. I z tej perspektywy widzimy szanse naszych obecnych reprezentantów na dobre wyniki w Los Angeles za 4 lata, bo wielu z nich to nadal młode osoby i postaramy się stworzyć im jak najlepsze warunki.

Czy po wycofaniu się z igrzysk Michała Kwiatkowskiego musiał go zastąpić Stanisław Aniołkowski, a nie aktualny - czerwcowy mistrz Polski, Norbert Banaszek?

- Taki jest regulamin. Szeroką kadrę musieliśmy zgłosić kilka miesięcy przed startem na igrzyskach, natomiast wąską reprezentację w czerwcu, przed mistrzostwami Polski. W tej wąskiej grupie był Michał Kwiatkowski jako zawodnik wytypowany, oraz Stanisław Aniołkowski i Rafał Majka jako rezerwowi. Aniołkowski pokazał się ze świetnej strony na Giro d'Italia i on był pierwszym kandydatem do zastąpienia Kwiatkowskiego, gdy ten wycofał się ze względów zdrowotnych.

W tym roku czekają nas jeszcze wrześniowe mistrzostwa Europy w Belgii oraz mistrzostwa świata w Szwajcarii. A na jakie wydarzenia pan szczególnie czeka?

- W tym roku czeka nas jeszcze kilka rywalizacji o koszulki mistrzów Polski na szosie, czyli w Górskich Mistrzostwach Polski, w dwójkach, w jeździe drużynowej oraz w kryterium ulicznym. Zapraszam sympatyków kolarstwa w ogóle, a torowego w szczególności do Pruszkowa. Tu w trzeci weekend września w mistrzostwach Polski zaprezentuje się nasza torowa elita. Takie są w tej chwili nasze najbliższe plany.

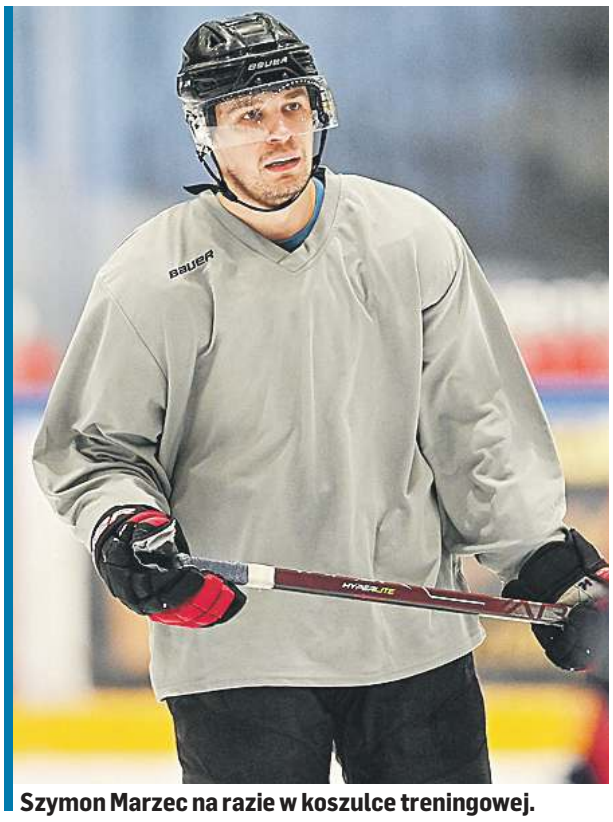
Rozmawiał Jerzy Dusik

Koniec i... początek nowej ery

To jest dobry start do czegoś nowego w naszym hokeju i wszyscy cieszymy się, że znaleźliśmy się pod Wawelem – deklaruje nowy kapitan „Pasów", Szymon Marzec.

16
ZAWODNIKÓW
odeszło z Comarch Cracovii oraz ich trener Rudolf Rohaczek, a zatem rewolucja kadrowa!

Puchar Kontynentalny (2022), siedem tytułów mistrza kraju, cztery wicemistrzowskie, Puchary i Superpuchary Polski – to osiągnięcia trenera Rudolfa Rohaczka w Comarch Cracovii, który 10 listopada obchodziłby 20-lecie pracy w klubie. To na pewno ewenement na skale światową. Czeski szkoleniowiec, rodem z Ostrawy, przy każdej okazji powtarzał, że nie byłoby tych sukcesów bez wsparcia właściciela klubu, prof. Janusza Filipiaka. Trener Rohaczek cieszył się szczególnymi względami profesora, ale 17 grudnia społeczność klubowa „Pasów" pogrążyła się w żałobie, właściciel klubu po ciężkiej chorobie zmarł. Hokeiści sezon dokończyli i nawet niewiele brakowało, by sprawili sensację, eliminując w 1. rundzie play offu późniejszego mistrza kraju, Re-Plast Unię Oświęcim. Po rywalizacji spodziewano się zmian, ale nie przypuszczano, że dojdzie do poważnych roszad kadrowych. Trener miał jeszcze przez rok ważny kontrakt, ale nowy prezes, Mateusz Dróżdż, ze swoimi współpracownikami w kwietniu zaproponował Rohaczkowi funkcję doradcy zarządu. To stanowisko utworzono kurtuazyjnie za wcześniejsze zasługi.


Szymon Marzec na razie w koszulce treningowej.

Zmiana wizerunku

„Pasy" na przestrzeni ostatniej dekady kojarzyły się z obcokrajowcami, którzy przeważali nad naszymi zawodnikami. Z chwilą odejścia Macieja Kruczka (2020) opaskę kapitana dzierżyli Czesi, których wielu było w drużynie. Tym razem nastąpiła zmiana wizerunku nie tylko sekcji hokejowej, ale całego klubu. Trzymajmy się jednak hokejowej tafli. Powstała nowa koncepcja działalności w oparciu o rodzimych hokeistów i inwestowanie w młodzież, czyli jednym słowem drużyna przyszłościowa.

- Pomysł zrodził się w klubie i zastanawialiśmy się nad trenerem, któremu chcieliśmy powierzyć realizację tego ambitnego projektu – wyjawia dyrektor operacyjny klubu, Łukasz Sikora. - Było kilku kandydatów, ale uznaliśmy, że charakterem najbardziej pasuje Marek Ziętara. Przedstawiliśmy założenia i trener wyraził zgodę, a do niego nieco później dołączył Jacek Szopiński. Obaj ochoczo zabrali się do pracy. Efekty są nader widoczne, pożegnaliśmy niemal wszystkich obcokrajowców, a do drużyny dołączyła nasza młodzież, paru doświadczonych zawodników z innych klubów oraz kilku nowych obcokrajowców, którzy uzyskali akceptację trenerów. Mogę śmiało stwierdzić, że stworzyliśmy drużynę nie tylko na miarę naszych możliwości finansowych, ale przede wszystkim na miarę naszych planów.

Nic na siłę

Sekcja hokejowa przeszła gruntowną przebudowę personalną. Dyrektor operacyjny jest jakby „ojcem chrzestnym" tych zmian, bo nie tylko każdy transfer zawodnika wymagał jego akceptacji. Powołano dyrektora sportowego i został nim Sebastian Witowski, który przez lata były kierownikiem zespołu. Wzmocniono Akademię Hokejową i na jej czele stanął słowacki szkoleniowiec Anton Tomko, a pracują w niej m.in. Rafał Radziszewski, Daniel Laszkiewicz czy Filip Drzewiecki.

Jednak wszyscy wiedzą, że motorem napędowym wszelkiej działalności sekcji są sukcesy pierwszej drużyny.

- Oczywiście, że tak było, jest i będzie – uśmiecha się dyrektor Sikora. - Jednak należymy do ludzi cierpliwych i systematyczna praca, inwestycja w młodzież powinny przynieść efekty. Nie oczekujemy od drużyny spektakularnych sukcesów, medali na zakończenie sezonu, ale solidnej postawy w każdym spotkaniu. Gdy patrzyłem na dotychczasowe sparingi, napawa to optymizmem, choć wiem, że zawodnicy nadal są w ciężkim treningu. Kto zna ten duet trenerski, ten wie, że nie ma zmiłuj się (śmiech). Z czasem będzie coraz lepiej, ale nie stawiamy żadnych celów drużynie, bo sezon zapewne przyniesie nam, oby, wiele miłych niespodzianek.

Trener gwarantem

W środowisku nie trzeba nikogo przekonywać, że duet Ziętara – Szopiński to połączenie ognia i wody. Ziętara ma impulsywny charakter, potrafiący powiedzieć wprost co myśli w danej sytuacji, zaś ten drugi, bardziej doświadczony, jest stonowany i wyważony. Kilku doświadczonych ligowców gdy otrzymało pytanie czy zechcieliby reprezentować „Pasy", niewiele się zastanawiało, bo głównym magnesem był Ziętara, który ma realizować ambitny klubowy projekt.

Szymon Marzec, 33-letni napastnik rodem z Gdańska, uchodzi za twardziela i przez ostatnie cztery sezony z powodzeniem reprezentował GKS Tychy. Jednak po zakończeniu ligowej rywalizacji w Tychach uznano, że czas na zmiany. Z napastnikiem od „czarnej roboty" się pożegnano, ale bezrobocie mu nie groziło.

- Miałem kilka propozycji, ale telefon od trenera Marka zadecydował, że wylądowałem w Krakowie równie pięknym jak mój rodzinny Gdańsk – uśmiecha się napastnik, który będzie nowym kapitanem drużyny. - Z trenerem Ziętarą miałem okazję współpracować przez dwa lata w Gdańsku i wiemy czego możemy do siebie oczekiwać. U niego nie ma żadnej taryfy ulgowej, nikt nie będzie grał na kredyt i nie boi się stawiać na młodzież. A mamy, obok kilku doświadczonych zawodników, wielu młodych, którzy muszą się wykazać. Pierwsze mecze sparingowe napawają optymizmem, choć nadal trenujemy dwa razy dziennie. Powoli będziemy schodzili z obciążeń. Teraz główny nacisk stawiamy na grę obronną, a potem będziemy doskonalić kolejne elementy. To jest dobry początek czegoś nowego w naszym hokeju i wszyscy cieszymy się, że znaleźliśmy się tutaj pod Wawelem.

W zespole najpierw wybrano Radę Drużyny (Bezwiński, Jaśkiewicz, D. Kapica, Kruczek, Wanacki i Marzec), a potem zgodnie z sugestią trenera wybrano Marca na kapitana. Znając tego ambitnego zawodnika, jesteśmy przekonani, że podoła nowym obowiązkom.

A teraz to na pewno koniec ery trenera Rohaczka, który przez prawie dwie dekady, za przyzwoleniem właściciela klubu, dzielił i rządził. Od kwietnia jest pisany nowy rozdział w bogatej historii klubu i... może być początkiem nowej ery!

Włodzimierz Sowiński

Natchniony „Wyszu"

Dobrze fedrujący w okresie przygotowawczym zabrzańscy „górnicy" wygrali kolejny turniej. Tym razem w Brnie.

PIŁKA RĘCZNA

Piłkarze ręczni Górnika Zabrze zwyciężyli w rozgrywanym w Czechach międzynarodowym KENIK CUP. W „STAREZ Arenie Vodova" w Brnie wygrali wszystkie spotkania, poprawiając tym samym wynik z poprzedniego roku, gdy zajęli 3. miejsce. „Trójkolorowi" rozpoczęli od zwycięstwa 32:29 nad Foerthof UHK Krems - to jeden z czołowych klubów w Austrii, pięciokrotny mistrz kraju i zdobywca tyluż krajowych pucharów. Następnie zabrzanie pokonali HK Bojnice 32:27, a to z kolei trzeci zespół na Słowacji. Finał był natomiast wewnętrzną rozgrywką przedstawicieli Orlen Superligi, ponieważ rywalem Górnika była Gwardia Opole. Mecz miał dwa oblicza. W pierwszej połowie (17:17) walczono bramka za bramkę. Po zmianie stron dominowali już zabrzanie, którzy mieli w bramce znakomicie usposobionego Piotra Wyszomirskiego. „Wyszu" zaliczył aż 14 obron i rewelacyjną, ponad 60-procentową skuteczność, a do zwycięstwa zespołu dorzucił jeszcze bramkę.

W nagrodę za dobrą robotę zawodnicy otrzymali od sztabu szkoleniowego wolny poniedziałek. W piątek natomiast rozegrają ostatni mecz kontrolny przed inauguracją sezonu. O 17.00 w hali przy Wolności 406 w Zabrzu podejmą Arged Rebud KPR Ostrovię Ostrów Wielkopolski. Warto tego dnia pojawić się na sparingu, ponieważ po meczu działacze zaplanowali prezentację drużyny. Tydzień później Górnik, również we własnej hali, zagra z Azotami Puławy (31 sierpnia, 18.00).

Zbigniew Cieńciała

TRZY PYTANIA DO...

TOMASZA STRZĄBAŁY
trenera Górnika Zabrze

Dobrzy Słowacy, **klasowi Austriacy**

1. Za wami dwa bardzo udane turnieje zakończone zwycięstwami. Jak oceni pan ten ostatni?

- Po bardzo ciężkich treningach nie wyglądaliśmy cudownie, bardzo dynamicznie, natomiast graliśmy dobrze. Najważniejsze, że zmierzyliśmy się z zespołami o innym stylu gry, bo mieliśmy okazję spotkać bardzo dobrych Słowaków, z których pięciu grało przeciwko Polakom w dwumeczu eliminacyjnym do mistrzostw świata. Podobną klasę prezentowali Austriacy, którzy co roku meldują się w czubie ligi, więc z tej perspektywy było to supergranie dla nas.

2. Finał był benefisem Piotra Wyszomirskiego?

- Przede wszystkim był to udany turniej, bez kontuzji i z tego najbardziej się cieszę. Pograli wszyscy, łącznie z młodymi. Można powiedzieć, że w drugiej połowie decydującego spotkania byliśmy stroną dominującą nad Opolem. Obrona stała dobrze, a Piotrek rzeczywiście bronił wszystko; miał aż 62 procent skuteczności. To że w drugiej połowie straciliśmy tylko 7 bramek mówi wszystko. Ale Gwardia to nasz dobry, solidny, zespół. Zagrała w najsilniejszym składzie, łącznie z kadrowiczami i wracającym po kontuzji barku Piotrkiem Jędraszczykiem.

3. Wszyscy zawodnicy są zdrowi?

- Na turnieju w Brnie nie wystąpił Taras Minocki, którego żona miała termin porodu. Jakub Szyszko tylko rzucał karne, ponieważ jest po czyszczeniu kolana, ale w ostatnim, piątkowym sparingu z Ostrowem będzie już normalnie grał. No i jeszcze Adam Wąsowski, który po operacji barku wróci na ligę. Myślę, że na 3. kolejkę będziemy go już mieli w kadrze. Wszystko zostało tak zrobione, by ci zawodnicy byli do naszej dyspozycji na najważniejsze mecze. Natomiast za turniej chciałbym wyróżnić młodego Jakuba Pindę, który dał dobre zmiany w środku obrony i w ataku również grał solidnie. To nasza 19-letnia nadzieja, która w Brnie pokazała się z dobrej strony.

Rozmawiał Zbigniew Cieńciała

Sport 121eeffe49

Brunetki i blondynki

W Gradi Golf Club rozegrana została jedenasta edycja turnieju „Brunetki, Blondynki - Ladies Golf Cup". Tym razem w bajkowej scenerii zwyciężyła Marianna Duczmal, zaledwie jednym uderzeniem pokonując Dominikę Gradecką.

To wyjątkowy turniej, którego od samego początku najważniejszym celem jest popularyzacja golfa wśród kobiet. Jego pomysłodawczynią i główną organizatorką jest Marzena Gradecka, dla której ten turniej jest oczkiem w głowie. W ciągu lat wydarzenie ewoluowało, a Gradi Golf Club stawał się miejscem, gdzie kobiety stanowią prawdziwą siłę. Dość powiedzieć, że jest tam teraz prawie 140 golfistek, co stanowi około 30 procent wszystkich klubowiczów.

Pomysł na dotarcie do kobiet

Zapytaliśmy Marzenę Gradecką jak wspomina początki tego wydarzenia, skąd wziął się pomysł i jak impreza ewoluowała w ciągu lat. - Początek był i przemyślany, i jednocześnie spontaniczny. Przemyślany, bo w swoistej kontrze do turnieju męskiego „Axe Golf", organizowanego przez mojego męża z przyjaciółmi na naszym polu, a spontaniczny gdyż wystarczyło hasło „kicz party". To był czas gdy w miarę to samo grono pań spotykało się regularnie na turniejach, które miały jednak charakter głównie sportowy – odpowiedziała. - Idea była taka, aby wreszcie zrobić coś na wesoło, tak aby zawodniczki miały okazję na serio rywalizować, ale jednocześnie żeby początkujące golfistki też mogły mieć radość mimo często nie najlepszych rezultatów. Dość szybko pojawiła się idea „przyprowadź koleżankę", co wiązało się z dołączeniem do turnieju akademii golfa oraz turnieju pierwszego kroku. Wszystko miało na celu pokazanie, że golf jest wielowymiarowy i nie musi być bardzo na serio. Można znaleźć nowych przyjaciół, a przede wszystkim aktywnie i energetycznie spędzać czas. Akademia dla początkujących rozwija się i w tym roku trzeba było zrobić dwie grupy. Jedną z nich prowadził Oskar Zaborowski, nasz zawodnik, uczestnik rozgrywek Pro Golf Tour, który zagra pod koniec sierpnia w turnieju Rosa Challenge Tour.

W Gradim stawiają na kobiety

- W Gradim mamy ponad 30 procent kobiet. I to jest zarówno ilościowo, ale i procentowo zdecydowanie największy udział w kraju. Atmosfera jest w tym wszystkim kluczowa. Otwartość na nowe osoby, objęcie ich opieką przez nasze najbardziej zaangażowane, wspaniałe panie, które biorą aktywny udział w życiu klubu. Pasja i radość która z nich bije zaraża i przyciąga kolejne adeptki. Nowe osoby często ustawiają sobie na nowo rozkłady tygodnia, by móc wygospodarować czas na golf. To nie jest łatwe, ale jak się bardzo chce da się to zrobić. Kluczowe jest opieka . Od wielu lat istnieją „Babskie czwartki". Co jakiś czas fundowane są paniom czwartkowe lekcje ze świetnymi trenerami, choćby z Nickiem Lanem - trenerem zawodników European Tour i Ladies European Tour. W czwartki panie obchodzą z koleżankami urodziny czy imieniny. Pałac Brzeźno zawsze organizuje im Dzień Kobiet, wspiera żeńską drużynę i generalnie pozytywnie reaguje na różne, często niestandardowe propozycje. Kilka miesięcy temu był „Ryder Cup" z drużyną z Hiszpanii na ich polu. Zawodniczki uwielbiają wyjazdy golfowe i często organizują się w grupach na komunikatorach. Korzystają również z porozumień między klubami, w kwestii cen, czy też wymiany turniejowej.

Bajkowe klimaty

Turniej ma zawsze jakiś motyw przewodni. Tym razem postawiono na bajki. - Tegoroczna edycja Brunetek i Blondynek była wyjątkowa, przez wiele uczestniczek określona jako najlepsza. Mieliśmy najwięcej partnerów imprezy, konkursów, losowań, prezentów i spotkań z ciekawymi osobami. Było też dużo świetnej muzyki na żywo oraz jak zwykle czas, aby trochę potańczyć i się powygłupiać. Wszystko dla kobiet, dla zdrowia, urody oraz dla ducha. Początkowo miałam pomysł, żeby nieco stonować metamorfozy za rok i zrobić imprezę w stylu boho, ale panie absolutnie zszokowały mnie strojami. Niewiarygodne, ale te najbardziej spektakularne były własnej roboty. Muszę więc przemyśleć jeszcze raz kwestię przyszłorocznego motywu. Tym razem był to świat bajek, a sceneria Pałacu Brzeźno sprzyjała takim klimatom. Jednak sport też miał się całkiem dobrze, nawet mimo bardzo wysokich temperatur.



Fot. Liza Kazandje

Uczestniczki kobiecego turnieju miały wspaniałą zabawę.

Przetasowania

- Mimo drugiej fantastycznej rundy 69, Dominika Gradecka musiała o punkt zadowolić się drugim miejscem. Wygrała Marianna Duczmal, grając z kolei doskonale pierwsza rundę. Wszystkie panie naładowały akumulatory i o to właśnie chodzi. Mało kto pamięta, ale początkowo tylko ja uwierzyłam w klubowe zmagania kobiet i przez pierwsze dwa, trzy lata organizowałam Klubowy Puchar Polski Kobiet. Kiedy już się rozkręcił, inicjatywę przejął Polski Związek Golfa i stworzono z tego Klubowe Mistrzostwa Polski Kobiet, w których w tym roku triumfowała drużyna Wrocławskiego Klubu Golfowego, a dziewczyny z Gradiego zajęły trzecie miejsce za reprezentantkami Armada Golf Club. Tamten Puchar Kobiet generalnie był dla mnie uzupełnieniem golfa na wesoło, golfem na serio, choć na początku organizowałam paniom sporo atrakcji dodatkowych, aby rozszerzyć grono potencjalnie zainteresowanych.

Marianna po raz drugi

Triumfowała Marianna Duczmal, która po rundach 73-77 pokonała jednym uderzeniem Dominikę Gradecką i czternastoma Iwonę Sławińską-Zamirowską. Legitymująca się handicapem 6 reprezentantka Wielkopolskiego Klubu Golfowego w tym roku wygrała wcześniej również Dr Irena Eris Ladies' Golf Cup, Polonię Open w kategorii kobiet oraz EKobiety Golf Cup, a za swój największy sukces uznaje triumf w Mistrzostwach Polski Juniorów oraz MP 19-25. W Brunetkach i Blondynkach zwyciężała już wcześniej. - Był to mój trzeci turniej BB. Wygrałam już te zawody w 2020 r. Pierwszego dnia zagrałam świetną rundę 73, co jest moim turniejowym rekordem na tym polu. Drugiego dnia była zacięta walka z Dominiką, która zagrała idealnie, wykręcając 69 uderzeń. Na dołku par 4 zagrałam jednak 9 strzałów i w tym momencie zrównałyśmy się wynikami, więc wiedziałam, że muszę się bardziej postarać, jeżeli chcę wygrać. Jadąc do Gradiego nie myślałam, że dam radę zwyciężyć, ale po pierwszym dniu wiedziałam, że wszystko jest możliwe. Drugiego dnia, tak naprawdę grałam bardzo dobrze, gdyby nie ten jeden dołek wpadki. Atmosfera była jak zawsze wspaniała. Oprócz rywalizacji, miałyśmy świetną imprezę przebieraną wieczorem. Wszystkie byłyśmy dla siebie bardzo życzliwe, atmosfera na polu też była super.

„Domi" nie dogoniła

-Dominika Gradecka nie zaczęła najlepiej rywalizacji. Runda 82 była sporo poniżej jej oczekiwań i drugiego dnia musiała wrzucić szósty bieg, myśląc o wygranej. Tak zrobiła, wykręcając niemal doskonałą rundę 69, w której trafiła eagle'a, trzy birdie i trzynaście parów. Niestety triple bogey na czternastce pokrzyżował jej plany i musiała zadowolić się drugim miejscem. Turniej w tym roku bardzo mi się podobał. Co do wyniku pozostał lekki niedosyt po nieudanej pierwszej rundzie, ale świetnie nadrobiłam dobrą grą drugiego dnia z wynikiem 69. Biorąc pod uwagę, że był to mój pierwszy turniej w tym roku jestem zadowolona. Mam sentyment do tego turnieju, bo kiedy grałam w nim pierwszy raz w 2018 roku, zagrałam życiówkę, 64 strzały. Otoczka była tym razem wyjątkowa, a Świat Bajek był najlepszym ze wszystkich dotychczasowych tematów. Panie miały piękne przebrania i oprócz gry była też świetna zabawa.

Pozostałe triumfatorki

Kategorią główną turnieju był Stroke Play Brutto. W poszczególnych kategoriach handicapowych netto triumfowały: 36,1- 54 - Jolanta Pasternak, 27,5 – 36 - Agnieszka Hiszpańska, 18,5 – 27,4 - Maria Miśkiewicz-Niemiec, 0 – 18,4 - Beata Szmidt.

Dziennik „Sport" objął Patronatem Medialnym tegoroczną imprezę. Za rok kolejna odsłona Brunetek & Blondynek.

Kasia Nieciak

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

WTOREK, 20 SIERPNIA

TVP 1
20.10 Przegląd wydarzeń

TVP SPORT
12.00 Pn: losowanie 1/32 finału Pucharu Polski, 17.55 Betclic 1. Liga, Kotwica Kołobrzeg - Polonia Warszawa, 20.25 Warta Poznań - ŁKS Łódź (na żywo), 23.00 Sportowy wieczór

POLSAT SPORT 1
23.55 Pn: Copa Libertadores, Fluminense - Gremio (na żywo)

EUROSPORT 1
14.30 Kolarstwo: 4. etap Vuelta a Espana, Plasencia - Pico Villuercas (na żywo)

ELEVEN SPORTS 1
18.55 Żużel: liga szwedzka, Dackarna Malilla - Eskilstuna Smederna (na żywo)

ELEVEN SPORTS 3
20.40 Puchar Niemiec, Eintracht Brunszwik - Eintracht Frankfurt (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13
Szef redakcji/Redaktor naczelny Andrzej WASIK
Redaktor wydania Paweł CZADO
e-mail: redakcja@dziennik sport.com.pl
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba

Sport 121eeffe49

W cieniu wieży Eiffla

Francuzi imprezę czterolecia przygotowali znakomicie i trudno było znaleźć słabe punkty, chociaż nie można powiedzieć, że nie było ich wcale.

Gdyby nie częstszy niż zwykle stukot młotków i hałas wiertarek, a także wszechobecne ciężarówki oraz maszyny budowlane demontujące tymczasowe trybuny, można by pomyśleć, że w Paryżu... nie działo się nic wyjątkowego. Kilkanaście godzin po ceremonii zamknięcia igrzysk, z ulic francuskiej stolicy zniknęły tysiące żołnierzy i policjantów, a pojawiło się mnóstwo śmieci oraz zniszczonych banerów, na których można było dostrzec fragmenty napisu „Paris 2024". Życie toczyło się prawie tak samo, jak miesiąc wcześniej. Prawie... Francuzi mieli sporo powodów do satysfakcji, bo imprezę czterolecia przygotowali znakomicie i trudno było znaleźć słabe punkty, chociaż nie można powiedzieć, że nie było ich wcale.



Fot. Laurent VU/SIPA/PressFocus

Zdobywając cztery złote medale, francuski pływak Leon Marchand zapracował na status największej gwiazdy paryskich igrzysk.

Szalejące krokomierze

Przed igrzyskami Francja przeżywała trudny okres, z niespodziewanymi wyborami, zamieszkami i wieloma incydentami, które zaburzały harmonię przygotowań. Zewsząd docierały również sygnały, że terroryści przygotowują się nie mniej intensywnie niż sportowcy. Dlatego najważniejsze było bezpieczeństwo. Na długi czas przed startem olimpijskich zmagań można było dostrzec spadochroniarzy, którzy ćwiczyli w pobliżu wieży Eiffla, nurków szperających w pobliżu mostów, czy komandosów sprawdzających budynki w okolicy aren. Jeśli ktoś przyjechał do Paryża tylko w celach turystycznych, z pewnością żałował, bo wiele kluczowych obiektów albo było niedostępnych, albo miało ograniczony dostęp. Miasto „tonęło" w barierkach, które uniemożliwiały podejście w wymarzone rejony. Skutecznym środkiem transportu były... nogi, bowiem większość stacji metra i przystanków wzdłuż Sekwany zostało wyłączonych z użytkowania. I chociaż samParyż jest kilka razy mniejszy od Warszawy, a nawet Katowic, czy Wisły, to krokomierz z pewnością miał prawo szaleć. Każda arena, hotel, czy centrum medialne otoczone było kordonem ochroniarzy, a kontrole bywały bardziej skrupulatne niż na lotniskach.

Bezpieczeństwo i ekologia

Pierwsze dni były trudne, również dla sportowców. Jakikolwiek pakunek na trasie autobusu zmuszał do postoju i oczekiwania na służby. Klimatyzacji brak, a okien nie wolno otwierać, by ktoś nie wpadł na pomysł wrzucenia czegoś do środka. Z każdym dniem wszystko przebiegało coraz sprawniej, a po czasie wszyscy mogą powiedzieć - „opłaciło się". Być może dowiemy się, czy jakieś akcje zostały udaremnione, czy nawet takowych nie było, ale miliony euro wydane na zabezpieczenie imprezy nie poszły na marne. Najczęstsze zdanie podsumowujące igrzyska, które padało i wciąż pada we francuskich mediach, brzmi: „Najważniejsze, że było bezpiecznie". Tuż za bezpieczeństwem znalazła się ekologia; pod tym względem miały to być igrzyska inne niż wszystkie. Były. Do przesady. Zarówno w wiosce olimpijskiej, jak i medialnej postawiono na minimalizm. Chociaż przestrzeni było mnóstwo, to w środku pokoju było kilka krzeseł, telewizor, suszak na pranie i wieszaki za drzwiami, których szafą nazwać nie można. Ale głównym punktem łóżko z...kartonu, które po igrzyskach miało zostać zmielone i użyte do produkcji czegoś równie pomysłowego. Ponadto zrezygnowano z klimatyzacji, co przy temperaturach przekraczających 30 stopni Celsjusza okazało się pomysłem mało trafionym, na dodatek mocno zalatującym hipokryzją. W studiu francuskiej telewizji, przed kamerami, do schładzania używano wachlarzy, ale gdy tylko gasła czerwona lampka, udawano się do pomieszczeń, w których nie było więcej niż kilkanaście kresek.

Swojskie słowo na „K"

Podobnie rzecz ma się z Sekwaną, która miała być czysta, ale nie była. Propagandowa linia nakazała triatlonistom startować, lecz burza trwa. Nawet Francuzi wiedzą, że na własną odpowiedzialność do Sekwany można wskoczyć, ale wypłynąć w podobnym stanie już niekoniecznie. Lista niezbyt pozytywnych mikroorganizmów i chorób, którymi straszy stołeczna rzeka, jest długa na kilka stron, ale nie może być inaczej, skoro Paryż sam w sobie jest miastem brudnym, a bajka, w której - właśnie w Paryżu - szczurek pragnie zostać wielkim kucharzem nie powstała przypadkowo. Wokół wielu restauracji widzieliśmy setki jego kuzynów, a ich marzenia niekoniecznie sięgają gotowania, tylko błyskawicznego dopadnięcia wyrzucanych gdzie popadnie resztek.

W imię ochrony klimatu postanowiono również znacznie ograniczyć budowę obiektów, które miały służyć tylko na czas igrzysk. Trzeba jednak przyznać, że zadanie to było ułatwione, bowiem sporo hal na miarę igrzysk już istniało i konieczny był tylko delikatny lifting. Pod tym względem robotę wykonano perfekcyjnie. Zresztą nie bez pomocy naszych rodaków. Jakież było moje zdziwienie, gdy jeszcze przed startem imprezy, nierzadko niosło się swojskie słowo na „K"... Okazało się, że to nie efekt nauki języków przez miejscowych, którzy mają problem nawet z angielskim, a zatrudnienie polskich robotników, którzy przyjechali za chlebem, wygrali przetargi i budowali olimpijskie areny. Spod ich rąk wyszły m.in. maszty flagowe, dumnie prezentujące się podczas ceremonii otwarcia.

Aż chciało się walczyć

W najpiękniejszej scenerii toczyła się rywalizacja w siatkówce plażowej. Główne boiska leżały u stóp najwyższej atrakcji Paryża. Konstrukcja z 1889 roku dumnie wystawała zza głównej trybuny, a dosłownie kilkadziesiąt metrów od wind, znajdowały się boksy zawodników. Świetnie mieli łucznicy. Po lewej trybuna na kilkanaście tysięcy, po prawej trybuna na kilkanaście tysięcy, a w środku dwa tory. Na wprost Pałac Inwalidów, z kościołem, w którym znajduje się ciało Napoleona. Most Aleksandra III był z kolei bliskim świadkiem kolarstwa i triatlonu, a w Grand Palais toczyły się zawody w szermierce i taekwondo. Niezwykle zadowoleni byli także jeźdźcy, których umiejscowiono w stajniach Wersalu, tuż obok pałacu, w którym proklamowano Republikę Francuską i tam, gdzie Wilhelm I koronował się na cesarza Niemiec. W takich miejscach aż chciało się być i aż chciało się walczyć.

Efekt Panoramiksa

Większość Czytelników z pewnością pamięta bajkę o Asteriksie. Rene Goscinny i Albert Uderzo stworzyli postać kultową, którą także w Paryżu można było spotkać w wielu miejscach. Jedną z ról wiodących w komiksach pełnił druid Panoramiks, znany z warzenia magicznego napoju, dającego nadludzką siłę. Nie brakło po igrzyskach głosów, że gospodarze z takiego napoju korzystali, a Leon Marchand być może nawet wpadł do kotła. 22-letni pływak z Tuluzy zdobył 4 złote medale, a na dodatek dokonał czegoś, co dotąd nie udało się nikomu. W ciągu dwóch godzin triumfował na 200 m stylem motylkowym i 200 m klasycznym. Marchandomania była wszędzie. Sam byłem świadkiem obrazka z hali pięściarskiej, gdy po ostatniej walce przygaszone zostały światła, a pełne trybuny wpatrzone były w ekrany telefonów, gdyż nadawano przekaz z pływalni. Doping był taki, jakby w ringu toczona była walka o najcenniejsze trofeum. Zresztą dochodziło też do absurdalnych sytuacji, gdy przerywano mecze szermiercze, czy tenisowe, bo wrzawa była zbyt duża i niezwiązana z zawodami trwającymi w tym miejscu. Wspaniałe było to, że na ulicach można było spotkać ludzi w dosłownie każdym wieku - od przedszkolaków, po staruszków z wymalowanymi flagami na policzkach i w reprezentacyjnych koszulkach. Trójkolorowi poczucie narodowej dumy mają kolosalne.

3 euro za wodę

Francuskie sukcesy tylko potęgowały zainteresowanie igrzyskami, chociaż nie wiem, czy był ktoś, kto o nich nie wiedział. Paryż został zalany olimpijskimi gadżetami, a do kilkudziesięciu oficjalnych butików ustawiały się długie kolejki. Breloczki, korkociągi, koszulki, czy frygijskie czapki wyprzedawały się na pniu. Chętnie kupowano również pamiątki związane z paraolimpiadą, w tym maskotki, które zamiast jednej nogi miały protezę. Już w trakcie igrzysk półki potrafiły pustoszeć, ku wielkiej radości sprzedających. Zresztą nikt nie ukrywał, że igrzyska to świetny czas, by zarobić. Paryż do najtańszych miast nigdy nie należał, a na przełomie lipca i sierpnia ceny drastycznie poszybowały. Za przejazd metrem, autobusem, czy tramwajem trzeba było zapłacić prawie 100% więcej niż kilka dni wcześniej! W podobnej skali wzrosły koszty zakwaterowania i wyżywienia, a w niektórych sklepach nawet cena wody potrafiła zbliżyć się do 3 euro za butelkę, co - jak tłumaczyli sami paryżanie - było kwotą skandalicznie wysoką. Ale jak nie teraz to kiedy? Statystycznie Paryż odwiedzało rocznie niespełna 30 milionów turystów, a szacuje się, że w trakcie igrzysk przyjechało trzy razy tyle.

Francuzi swoje igrzyska słusznie uważają za wielki sukces sportowy, marketingowy i organizacyjny. Kibice - nie tylko francuscy - wyjeżdżali z Paryża, może biedniejsi w walutę, ale bogatsi w emocje, a zatem zadowoleni. Niemal na każdym kroku organizatorzy zbierają pochwały i opinie, że to były jedne z lepszych, jeśli nie najlepsze, igrzyska olimpijskie w historii. Można się z tym zgodzić, ale nie brakuje głosów, że to tylko... podpuszczanie i drażnienie ego Amerykanów, którzy za 4 lata zorganizują imprezę w Los Angeles, by tam było jeszcze lepiej, jeszcze piękniej i zapewne jeszcze drożej!

Tadeusz Musioł,
Polskie Radio

Sport 121eeffe49